Nr. 2. Warszawa, dnia 14 (2) Stycznia 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

OCZYSZCZENIE GABINETU.

Członkom rządu francuskiego, niepokalanym w sprawie panamskiej, zdawało się, że zdołają uratować swych towarzyszów podejrzanych lub oskarżonych. W tym wysiłku obrony chodziło nietylko o dogodzenie sympatyom osobistym, ale także o możliwe ograniczenie skandalu i utrzymanie na stanowiskach ludzi zdolnych i krajowi potrzebnych. Ten ostatni wzgląd odnosił się szczególnie do Freycineta. Już dla samego jego urzędu ministra wojny wielce pożądana jest ciągłość jednego kierownictwa, której wymaga przeprowadzenie planów i reform, obliczonych na dłuższy przeciąg czasu. Częste zmiany w naczelnem zwierzchnictwie nad tą dziedziną muszą wydać złe owoce, gdyż w armii żadna idea nie da się wprowadzić szybko, a ostatecznie „co głowa — to rozum.“ Chociażby następca jaknajbardziej cenił mądrość swego poprzednika, nigdy nie zechce on być prostym wykonawcą jego projektów. Jeżeli zaś te zmiany zachodzą w małych przedziałach czasu i powtarzają się zbyt często, siła zbrojna państwa może się znaleźć w zupełnym rozstroju, przedstawiać zlepek robót rozpoczętych a niedokończonych, pomysłów wzajemnie sobie przeczących. Freycinet zaś uchodził za bardzo zdolnego ministra wojny, po którym francuzi spodziewali się znakomitych rezultatów. Nadto byli oni niezmiernie temu radzi, że znalazł się odpowiedni człowiek cywilny do zarządu armią, a jeżeli dawniej nie dowierzali ministrom wojny wojskowym, niepewnym w swych uczuciach republikańskich, tem bardziej boją się ich dziś, gdy sprawa panamska podorwała grunt Rzeczpospolitej. I oto okazało się, że ten człowiek, wprawdzie nie dla osobistych celów, umoczył jednak rękę w błocie panamskiem. Długo usiłowano go z tej plamy obmyć, ale wystąpiła konieczność, która kazała go poświęcić. Wobec kraju bowiem sprawa stanęła tak: brali łapówki deputowani, brali senatorowie, brali ministrowie dymisyonowani, brali obecnie urzędujący, brali zatem najpoważniejsi przedstawiciele Rzeczpospolitej. Jeżeli ona nie ma runąć pod ciosami oburzenia i hańby, należy co prędzej oczyścić z żywiołów sprzedajnych nietylko Izbę, Senat, ale i rząd, zwłaszcza ten ostatni, tak radykalnie, ażeby na żadnym z ministrów nie spoczywała nawet najlżejsza poszlaka. Bo jakże on może bronić ustroju państwa od zamachów, jak rozwijać energię, jak ścigać i karać winnych, jak tłumić wrzenia, jeżeli pierwszy lepszy oskarżyciel w parlamencie lub prasie ma prawo mu bryznąć w oczy zarzutem: i śród was są łapownicy! Taki rząd nie zdołałby nigdy zapanować nad położeniem i wyprowadzić narodu z błędnego koła gorszących odkryć i skandalów. Jeżeli ma okazać siłę, musi przedewszystkiem być czystym, przynajmniej czystym w odniesieniu do tej nieszczęsnej sprawy kanału Panamskiego, która dziś wydaje się francuzom czarniejszą od wszystkich innych.

Tę konieczność zrozumiał i ocenił Ribot, gdy złożył w ręce prezydenta dymisyę gabinetu. Otrzymał on, jak należało się spodziewać, zlecenie, ażeby utworzył nowy, a w tym nowym nie ujrzymy kilku dotychczasowych ministrów, nie ujrzymy zaś stanowczo Freycineta. Jego los już został rozstrzygnięty, a jego nazwisko ukazało się już w okienku, które Andrieux wystrzygł w fotografii czeków, zawierających pokwitowania nakarmionych funduszem panamskim.

Freycinet wziął podobno pieniądze na „potrzeby Rzeczpospolitej“; francuzi usuwają go z żalem; nie będziemy jednakże zastanawiali się bliżej ani nad stopniem jego winy, ani nad wysokością straty, jaką kraj w nim ponosi, gdyż są to kwestye drugorzędne i wątpliwe. Ważnym i doniosłym według nas jest fakt oczyszczenia rządu z resztek panamskiego mętu. Teraz ma on rozwiązane ręce, swobodę działania śmiałego i energicznego. Dotąd jedną ręką chwytał winnych, a drugą osłaniał ich wspólników w swem gronie; obecnie nie potrzebuje już wahać się, wykręcać, czynić kroku naprzód i w tył. Być może, iż ten i ów z oskarżonych lub podejrzanych a nawet sam Freycinet bardziej padnie ofiarą potwarzy, niż sprawiedliwości, ale w gabinecie nie było już miejsca dla panamczyków.

Oczyszczenie rządu z pierwiastków pokalanych lub tylko drażniących opinię było według nas bezpieczniejszym środkiem zduszenie hydry, niż rozwiązanie parlamentu. Naród bowiem jest przejęty tak głęboką i słuszną zgrozą na swych przedstawicieli, że mógł w nich znienawidzić nawet ich republikanizm i wybrać taką Izbę, która albo dokonałaby przewrotu, albo dała hasło do długich zawichrzeń. Ratownicy i naprawiacze obecnego położenia mają nadzieję, że zdołają załatwić się ze sprawą panamską przed nowymi wyborami, na których ona wcale nie zaciąży ze szkodą dla Rzeczpospolitej. Jest to rachuba dość zasadna.

Do chwili, w której te słowa piszemy, skład odnowionego gabinetu nie jest jeszcze znany, chociaż już otrzymał nazwę tymczasowego ze względu na trudność zadania. Nam się wszakże zdaje, że jeżeli wejdą do niego ludzie rozumni, prawi i sprężyści, mogą wkrótce pozyskać zaufanie, wiarę, szacunek i mocne oparcie w narodzie, który pragnie widzieć u steru ręce czyste i silne. Brudne i słabe już mu tak obmierzły, że przeniósłby dyktaturę nad ciągłe tasowanie się tych samych osobistości pośledniego rodzaju.

FUNDUSZE WELFICKIE.

Fundusze, wyznaczone zdetronizowanemu królowi hanowerskiemu, rząd pruski w marcu 1868 r. skonfiskował, a Bismark wniósł projekt użycia ich przeciwko „gadzinom,“ jak nazwał agentów wygnanego monarchy. Potulny sejm północno-niemiecki nie omieszkał życzeń wielkiego kanclerza przyodziać w szatę prawną, ale opinia publiczna okazała się mniej uległą. Nazwę zatrzymała, lecz w innem znaczeniu, aniżeli sobie życzył późniejszy książę żelazny. Imieniem gadzinowego ochrzciła sam fundusz skonfiskowany, a do rzędu płazów i gadów zaliczyła wszystkich, którzy zeń korzystali w jakikolwiek sposób. A korzystano aż nazbyt skandalicznie. Sejm wyrzekł się kontroli, komu płacono i za co, a wszechwładny majordom stał się jedynym niemal szafarzem 48 milionów marek. Jak używano funduszów gadzinowych, nikt nie wiedział. Dość że w ciągu lat 22 rozeszło się z nich około 30 mil. marek. Bismark, nagabywany w sejmie o sumy welfickie, dawał odpowiedzi, właściwe jego brutalności. Potem oświadczył raz, że nawet gdyby chciał, nie zdołałby udzielić objaśnienia, gdyż kwity zostały zniszczone. Bajeczkę tę przyjęto w pewnych kołach nader sympatycznie, bo trudno przypuścić, ażeby była czemś więcej, niż bajeczką. Jeżeli ktoś oddał swoje usługi 'za pewną sumę, tedy zachowanie kwitu kompromitowało go raz na zawsze i niepodobna mniemać, aby ex-majordom kogoś wypuścił ze swoich szponów dobrowolnie. Bądź co bądź, tajemnica pokrywała fundusz gadzinowy— ku wielkiemu zadowoleniu jego spożywców. I zdawało się, że chyba dziesiąte pokolenie, szperając w starzyźnie historycznej, odnajdzie kwity welfickie i ujawni położone na nich nazwiska, ale o to mało dbała zgraja, która chętnie gotowa była zgodzić się na szubienicę moralną w przyszłości, byleby dzisiaj zgarnąć ów marny, żółty, błyszczący metal, który pozwala nabyć wszelkie przyjemności życia, od zaszczytów do wdzięków baletnicy. Atoli „jest jeszcze prawda na ziemi,“ powiedziałby jakiś czciciel wyroków niezbadanych. Nie dziesiąte, ale obecne pokolenie wygrzebało pokwitowania welfickie i sto z pośród nich ofiarowało, jako podarunek noworoczny różnym płazom, dumnie rozpierającym się w krzesłach sejmów, a dzisiaj z pogardą odzywających się o zdemoralizowanej i rozpustnej frygijce z drugiej strony Renu.

Przyjrzyjmy się treści kwitów. Brzmią one ogółem na sumę $1^3/_4$ mil. marek. Jest to zatem odsłonięcie zaledwie jakiejś piętnastej części tajemnic funduszu welfickiego. Dla zagranicy jest ono dotychczas zbyt nieprzystępne. Ale każdy, obeznany jako tako z biegiem spraw publicznych w Niemczech, w większości wypadków pozna, o kim mowa, tembardziej, że niekiedy napomknięcia są aż nazbyt wyraźne. Nazwisko ministra Bittera dodano jako przymiotnik (*bitter*, gorzki) do odpowiedniego wsparcia; ktoś inny występuje jako piastun z teką, który miał wszelkie powody czuć wdzięczność względem ślepego króla (zdetronizowany król hanowerski był ślepy). Ważniejsze postacie opinia publiczna wytyka dzisiaj palcami. Sto ogłoszonych pokwitowań stanowi już obecnie nader ważny przyczynek do niejednej zagadki dziejów niemieckich z ostatnich lat dwudziestu. A któż z nich nie czerpał. Ministrowie, posłowie sejmowi zarówno całej Rzeszy niemieckiej, jako też różnych zaścianków i zaścianeczków niezależnych, oficerowie, dziennikarze swojscy i zagraniczni, w tej liczbie francuscy w przededniu sromotnej klęski sedańskiej, lekarze, kierownicy staro-katolicyzmu, agenci policyjni najniższego rzędu, wszystkie te postacie stoją z wyciągniętą dłonią, ażeby otrzymać łapówkę lub grosze judaszowe, a wśród tej tłuszczy spotykamy nawet przedstawicieli stanu sędziowskiego, pobierających żołd za swoje wyroki...

Sprawa welficka jest godną panamskiej, a cała różnica polega na sumach. Mężowie z *grrrande nation* sprzedawali się za setki tysięcy franków, tymczasem najgrubsza łapówka, którą otrzymał jakiś poseł niemiecki za frymarczenie swoimi wpływami na *grosses Vaterland*, nie przewyższa 20 tysięcy talarów; jedni mówią, że jest to v. Benningsen, inni wskazują Miquela. Zbawcy ojczyzny, którzy tak tłumnie wojowali podczas walki kulturalnej za zbawienie postępu, ze źródła welfickiego czerpią natchnienia; za te same pieniądze zaufani powiernicy króla hanowerskiego i bawarskiego zdradzają swoich koronowanych przyjaciół. Zwłaszcza skandalicznie wygląda stosunek Prus do Bawaryi. Współzawodnictwo pomiędzy tymi krajami ciągnie się od lat wielu, a Bawarya uskarża się bezustannie, że z Berlina płyną pieniądze, sieające w niej niezgodę i sprzedajność. W stolicy nadsprewskiej uważano te skargi za objaw uprzedzeń. Ogłoszone kwity czynią te uprzedzenia aż nazbyt jawną i niewątpliwą rzeczywistością. Ministrowie, bawarscy, gazety tamtejsze, wyżsi oficerowie, nawet swego czasu przewódcy starokatolicyzmu otrzymują wsparcia i łapówki, zdradzając swoją ojczyznę bawarską lub tajemnice swojego władcy. Najskandaliczniejszym jednak ustępem tej sprawy i dziejów pruskich z epoki ostatniego dwudziestolecia jest złoty potok, który z kasy gadzinowej wpływa do kieszeni bawarskiej w okresie śmierci nieszczęsnego Ludwika II. Zapozwany przez wierzycieli przed sądy o zwrot długów i skandalicznie prześladowany, lubo jako dłużnik przedstawiał jeszcze dużo rękojmi, napadany w sejmie, ogłoszony za waryata, zginął w wodach jeziora ze swoim przybocznym lekarzem. Było to 13 czerwca 1886, a głos ludu dzisiaj jeszcze nie wierzy, ażeby król sam się utopił. Cokolwiekbądź, dość, że dnia 21 czerwca jakiś wysoki dostojnik przy boku Ludwika II otrzymuje 35 tysięcy marek, drugi 30, wreszcie ktoś podrzędniejszy 10. Nadto kilku posłów i jedno z czasopism dostają wsparcia — wszystko z funduszu welfów. Za co idą te łapówki i to w takim czasie? Czy pośrednio, przez kierowanie owymi pozwami, napaściami w sejmie itd., Prusy nie doprowadziły do szału swego współzawodnika w Monachium?..

Obiecują jeszcze dalsze ogłoszenie dowodów i napomykają, że kiedyś i nazwiska sprzedawczyków zostaną zdradzone. W prasie niemieckiej zawrzało jak w ulu. Centrum, wolnomyślni, ludowcy ani chwili nie powątpiewają o autentyczności kwitów. Narodowo-liberalizm, który, jak ze wszystkiego okazuje się, miał największe powody głosowania zawsze za utrzymaniem tajo-

---

Włodzimierz Wysocki.

BOCIAN.

(Dokończenie).

Nastały dla nas straszne dnie tułac- [twa!
Bez sił, opieki, bez dachu nad sobą,
W łachmanach zgniłych i pełnych robactwa,
Trapieni głodem, a często chorobą,
Często nocując pod odkrytem niebem
Lub się tułając od chaty do chaty,
Żyliśmy suchym wyżebranym chlebem
I w wyżebrane stroili się szaty.
We dnie od domu byliśmy najdalej,
By nas nie tknęła pięść stryja zawzięta,
Ale pod wieczór tośmy kołowali
Obok zagrody, jak głodne wilczęta.
Często przemógłszy uczucie obawy,
Skradaliśmy się aż pod ogrodzenie;
Widzieli wówczas rząd okien jaskrawy,
W których migały rozmaite cienie.
Gwar licznych głosów w domu i ogrodzie,
Dźwięki orkiestry wraz z tańców tupotem
Leciały ku nam. Trzęsąc się na chłodzie,
Myśmy słuchali, skuleni pod płotem;
Łzy mimowiednie rosiły nam lica,
A myśli biegły tam, na te pokoje,
Gdzie tak niedawno, za życia rodzica
Tacy szczęśliwi byliśmy oboje!
Stokroć przykrzejszą bywa nędza nasza
Wobec widoku cudzej pomyślności,
Kiedy pomyślność ta się rozpanasza
Na gruzach naszej, szczęśliwej przeszłości!
Dziś inni ludzie, zwyczaje, porządki
Inne tam były śpiewy i biesiady!
Stryj niszczył nasze najświętsze pamiątki
I pragnął zatrzeć wszelkie po nas ślady
Aby tem łatwiej ziścić swe zamiary
I nas wywłaszczyć bezprawnie, przemocą;
Miałże się sądu obawiać i kary?
Któż się upomni o krzywdę sierocą!
A jednak niebo zesłało mściciela!
Posłuchaj. Było na domu prastare
Gniazdo, co wiosny stale, od lat wiela
Zamieszkiwane przez bocianów parę.
To sympatyczne, długonogie stadło
Wywiodło u nas pokoleń niemało;
Nikt nie pamiętał, kiedy tu osiadło:
Pono od kiedy dominium stało,
Dźwigało gniazdo na czubie swej strzechy.
Myśmy kochali tę parę skrzydlatą;
Co wiosny ileż było to uciechy
Gdy powracały bociany na lato,
Gdy się ozwały wesołym klekotem
I ku nam długie wyciągały szyje,
Jakby witając i pytając o tem:
Jak się miewamy?.. czy gospodarz żyje?..
Owóż gdy w domu nastały odmiany,
Wśród opiekuńczych rządów i nadużyć
Stryj nasz, snać mając budownicze plany,
Lub z innych względów — kazał gniazdo [zburzyć.
Rozkaz spełniono. Pewnego poranku
Siedziba ptaków ze szczytu zepchnięta
Runęła na dół — i u stopni ganku
Legły skrwawione małe bocianięta.
Zbiegłszy się zewsząd na to widowisko,
Patrzyła czeladź bezmyślnie wesoła,
A nad nią stare bociany tak nisko,
Tak rozpaczliwe zataczały koła!
To się wzbijały ku niebu z klekotem
Niby ze skargą, to spadłszy z obłoku,
Dom i dziedziniec otaczały lotem,
Szukając piskląt. Tak trwało do zmroku.

* *

Tę noc, jak zwykle, mieliśmy na dworze
Spędzić. O zmierzchu poszliśmy pod gruszę,
Która samotnie stała na ugorze;
Tlało tam jeszcze ognisko pastusze,
Które podsycił nieco suchą trawą,
I przytuliwszy siostrzyczkę uśpioną,
Siedziałem, patrząc przed się w dal szarawą.
Tam dom nasz stoi pod mroków oponą.
Lecz od ciemnego tła nieba odbity
Swych ścian białością z za drzew się wy- [stawia;
Widzę kominy, dach i dymu kity
A nawet studnię i nad nią żórawia,
Tylko nie widać bocianiego gniazda.
Wieczór był cichy; na niebie zciemniałem
Już tu i owdzie zatliła się gwiazda...
Nagle w powietrzu bociana ujrzałem:
Zniżał się ku mnie, zakreślał półkole,
Tnąc dużem skrzydłem toń powietrza cie- [mną,
Nareszcie zwolna spuścił się na rolę
I niespodzianie stanął tuż przede mną.
— Bociuś nasz! bociuś! — krzyknąłem tak [głośno,
Aż śpiącą siostrę obudziłem przytem,
Która podniosła twarzyczkę radośną
I spoglądała na gościa z zachwytem.
Mogliśmy jego przyjrzeć się postawie,
Gdyż się nie ruszał, a stanął tak blisko,

mnie welfickich, bo najobficiej brał łapówki, od początku nadrabiał buńczucznością. Chce ogłaszających przedstawić jako żądnych łatwego skandalu i woła o nazwiska. Nazwisk!—tak sprzedawczycy francuscy przywitali też pierwsze odkrycie panamskie. *Reichsanzeiger*, ku któremu zwracali swój wzrok w nadziei, że on obwieści odkrycia za fałszywe i poda wiadomość o pociągnięciu potwarców do odpowiedzialności, przemówił świeżo — w sposób niemiły. Donosi, że w archiwum kwitów niema.

J. W.

Z AUSTRYI.

Wiedeń 7 stycznia.

Hr. Taaffe spiskujący ze wszystkimi. — Zjazd namiestników. — Wrzask w prasie i spokój wśród publiczności. — Skład przyszłej większości i przyszłego gabinetu. — Program idealny. — Co potem?

Od kilku dni zajmują się ministrowie i przywódcy głównych stronnictw parlamentu w najgłębszej tajemnicy, przy zamkniętych drzwiach i oknach, fabrykacyą przyszłej większości. Narady, odbywające się w pięknym gmachu Hanssena przy Franzensringu, bardziej podobne są do spisków, niż do rokowań, których przedmiotem są losy państwa całego w najbliższym przynajmniej czasie. Naprzód odbyła się konferencya hr. Taaffego z Plenerem, w której wziął udział minister Bucquehem, znany ze swej życzliwości dla stronnictwa niemieckiego. Następnie pomówił prezes gabinetu poufnie z przewodniczącym Koła polskiego, p. Jaworskim, przyczem obecny był minister dla Galicyi, p. Zalewski. Wreszcie, jako na ostatniego, przyszła kolej na hr. Hohenwarta, który przyprowadził z sobą aż dwóch ministrów skojarzonych z jego klubem: Falkenhayna i Schönborna. Wszyscy spiskują więc przeciw wszystkim, a ci, którzy stoją po za drzwiami, mogą uspokoić się tylko tem, że hr. Taaffe należy równocześnie do wszystkich spisków.

Możnaby przypuszczać wobec tego, że ciekawość ogólna podniecona jest w najwyższym stopniu. Za tydzień lub dwa tygodnie najdalej nowa większość będzie utworzona, lub — parlament rozwiązany. Na tę ostatnią możliwość wskazuje też — przynajmniej pozornie — okoliczność, że w ciągu ostatnich dni znaleźli się w Wiedniu wszyscy prawie namiestnikowie pojedynczych krajów. Przyjechali hr. Badeni, hrabiowie Zygmunt i Franciszek Thun, baronowie Puthon i Hein, a dziś lub jutro przyjadą jeszcze namiestnikowie Bukowiny i Dalmacyi, Krauss i Dawid. Formalnym celem zjazdu tego jest wprawdzie rzecz bardzo niewinna: bankiet, który odbędzie się w najbliższych dniach na cześć jubileuszu służbowego hr. Taaffego. Dla natur podejrzliwych łatwem byłoby jednak posądzać prezesa gabinetu o to, że chce użyć tej sposobności, aby poinformować się przed krokiem stanowczym o szansach nowych wyborów do Rady państwa i umówić się w danym razie z namiestnikami co do planu walki.

Możliwość ta, tajemnica, osłaniająca rokowania obecne, wreszcie krzykliwe głosy, odzywające się zewsząd i co chwila wśród prasy wszystkich możliwych kolorów i odcieni, a zapewniające dziś z wszelką stanowczością, że układy nie doprowadzą do celu, jutro zaś z niemniejszą pewnością, że układy te muszą się udać, zajadła polemika pism naiwniejszych, które myślą, że mogą jeszcze w chwili obecnej przysłużyć się stronnictwu swemu, wrzeszcząc co siła: „gwałtu!", lub wykrzykując na całe gardło po tysiączny raz program swej partyi, wreszcie umyślna zagadkowość pism innych i sprytniejszych, które chciałyby udawać, że są wtajemniczone w to, co się dzieje — wszystko powinnoby zaostrzyć ciekawość i wywołać pewne napięcie umysłów w publiczności.

W istocie jednak, zarówno publiczność, jak i posłowie, niewtajemniczeni w przebieg rokowań, oczekują wyniku dość spokojnie, gdyż uważają możliwość rozbicia się ich za prawie wykluczoną. Mimo okrzyków trwogi, rozlegających się co chwila w prasie, nikt prawie nie wątpi dziś o tem, że po podniesieniu kurtyny ujrzy przed sobą gotową większość, która już zgóry ochrzczona została —trochę przedwcześnie—„większością stałą."

Jest bowiem jasnem dla każdego, że gdy rozpoczęto raz układy, muszą one dojść do skutku. Stronnictwo Plenera spaliło mosty po za sobą. Gdyby w tej chwili odbyły się nowe wybory, pozycya jego byłaby bardzo niebezpieczną, gdyż z jednej strony zraziło ono sobie wyborców taktyką pozbawioną godności i charakteru, z drugiej zaś nie mogłoby wskazać choćby najmniejszych zysków materyalnych, zdobytych przy pomocy tej taktyki. Możliwość rozwiązania parlamentu jest więc dlań najstraszniejszą ze wszystkich i dla uniknięcia jej musi ono być gotowem na bardzo znaczne nawet ofiary. Koło polskie nie potrzebuje obawiać się większości, w której zasiądzie obok klubu hr. Hohenwarta. Co się tyczy wreszcie hohenwartowców, a w szczególe klerykalnych żywiołów tego klubu, to nie straciłyby one wprawdzie nic przy nowych wyborach, prawdopodobnie nawet zyskałyby, ale o przeprowadzeniu ważniejszych punktów swego programu stronnictwo to przecież na razie myśleć nie może, a wobec wzrastających sił liberalizmu w Czechach musi, chcąc nie chcąc, przyjąć zawieszenie broni, ofiarowane mu obecnie przez liberałów niemieckich. Niema więc nikogo, dla którego zerwanie układów nie byłoby niebezpiecznem lub choćby tylko niewygodnem.

Mniej jasnem jest jednak, jaka będzie nowa większość i co będzie jej programem. Na pytania te nie potrafiłby prawdopodobnie odpowiedzieć dziś jeszcze ani sam hr. Taaffe, ani żaden z przywódców grup. Każda ze stron znajduje się w położeniu człowieka, który targuje się zażarcie o cenę towaru, ale chce go kupić w każdym razie. Nie wie jeszcze, za ile, ale wie, że kupi.

Czy w skład większości nowej wejść ma cała lewica niemiecka i czy wejdzie w nią również cały klub hr. Hohenwarta? Oto pierwsza kwestya, około której obracają się niezawodnie dotychczas rokowania. Hohenwartowcy żądają prawdopodobnie wyłączenia owych członków stronnictwa niemieckiego, którzy stawialiby opór najsilniejszy przy ostatecznem ubiciu ugody czesko-niemieckiej, a więc skrajnych narodowców niemieckich; niemcy natomiast domagają się prawdopodobnie wyłączenia grupy feodałów czeskich z klubu Hohenwarta. Po-

---

Że się go można było dotknąć prawie,
Bo przedzielało nas tylko ognisko.
Długi dziób jego kraśniał przy płomieniu,
Głęboki smutek patrzał mu z pod powiek,
Coś tak ludzkiego miał bocian w spojrzeniu
Iż się zdawało: przemówi jak człowiek!
Postał przed nami, smutny niewymownie,
A potem jeszcze bliżej się podsunął,
I, o dziw! chwycił rozpaloną głownię,
Rozwinął skrzydła i w powietrze frunął!
Zdumionym wzrokiem biegliśmy za ptakiem,
Który choć znikał pod nocy osłoną,
Lecz drogę swoją iskrzącym się szlakiem
Kreślił po niebie żagwią rozpaloną.
Nastała północ. Wśród ciszy i głuszy
Czasem zaszczekał jakiś pies daleki
Lub mocniej liście zaszumiały gruszy,
Zsyłając senność na nasze powieki;
Czasami komar zabrzęczał przy skroni
Lub trzask doleciał od gasnącej głowni;
Słuchałem rżenia pasących się koni
I jakichś szmerów na ściernistej równi,
Gdzie ze mgły chwiejne snuły się postacie.
Niebo patrzyło na nas, roziskrzone
I po swej głębi, jak po cyferblacie,
Suwało gwiazdy wszystkie w jedną stronę,
A w poprzek jego lśniła mleczna droga,
Na którą patrzę półsenny i myślę:
„Tą drogą chodzą sierotki do Boga!
Kiedyż On po nas aniołków swych przyślę?"
Wtem blask niezwykły uderza mi w oczy;
Spojrzę: nad domem zarzewie olbrzymie,
I dym czarnemi kłębami się toczy!
Iskry jak race pękają w tym dymie
I wypryskują nad ognistym stosem
Wśród jęków, krzyków, wołania i wrzasku!
A nad tym dymu, głosów, skier chaosem,
Pławiąc się w krwawym płomieni odblasku,
Bujają oba bociany dokoła,
Jak by chcąc widzieć, czy dobrze się pali;
Wreszcie gdy ogień wszystko objął zgoła,
Po kilku kręgach znikają w oddali.
A już pożaru rozszalała burza
Ciągle dom szerszą ogarniając falą;
Już dym wraz z ogniem z okien się wynurza,
Pękają szyby, już krokwie się walą,
I nowe dymu wybuchają chmury!
Już obnażone belki i wiązadła
Rozżarzonymi iskrzą się kontury;
Wreszcie już z trzaskiem powała upadła
Już ganek runął... i tylko kominy
Wysokie, ciemne wśród płomieni sterczą.
Wtem język krwawy liznął oficyny
I tam rozpoczął robotę morderczą:
Gorzą śpichlerze, stajnie i stodoły,
Wokoło ogień! — nie, to ognia morze!
Psy dziko wyją, ryczą krowy, woły
I beczą owce żałośnie w oborze,
A ze wsi wielkim jękiem dzwon oddzwania;
Zewsząd wołają: pomocy!.. ratunku!
Lecz płomień wszystko doszczętnie pochłania
Szaleje wszędzie — i w każdym kierunku!
Już nawet z domu wyniesione sprzęty
Palą się!.. Brama, płoty, sztachety,
Wszystko na pastwę rwał płomień zacięty
I nie oszczędzał nawet drzew! Niestety!
One wśród wściekłej ognia orgii takiej
Poczęły płonąć jak jasne gromnice,
Ich liście wichrem, jak ogniste ptaki
Oblatywały całą okolicę,
Roznosząc postrach i grozę pożaru.
Na niebie łuna od końca do końca
Miała kształt straszny krwawego sztandaru,
Który powiewał aż do wschodu słońca!..
Nasz stryj—opiekun chciał ratować syna,
Zapomniawszy wśród powszechnej trwogi;
Już go wynosił... Wtem strop się ugina
I duża belka przywala mu nogi.
Naprożno z pod niej wydobyć się sili,
Darmo się obaj wiją i szamocą! .
Widząc to ludzie z przerażenia wyli,
Lecz nikt nie ważył rzucić się z pomocą.
Tymczasem płomień czerwonym językiem
Musnął ofiarę najprzód lekko, zdala,
I wnet z trzeszczeniem, warczeniem i sykiem
Brodę, brwi, rzęsy i wąsy osmala.
Włosy na głowie płomienistym wieńcem
Stanęły — sterczą jak czerwone druty!
Męczennik zdawał się być potępieńcem,
Żywcem skazanym na piekieł pokuty!
Nie długo jednak wił się w takiej męce!
Już płonął cały!.. Jeszcze raz nad siły
Wytknął z płomienia wpółzwęglone ręce,
W końcu go ognie jak węże spowiły
I dym pochłonął...
Długo po pożarze
Baby, zwijając wieczorami motki,
Gwarzyły o tem, jak to pan Bóg karze
Tych opiekunów, co krzywdzą sierotki...

Kijów.—Październik, 1892.

nieważ ta grupa jest, jak wiadomo, jaknajściślej złączona z hr. Taaffem, przeto bardzo być może, iż mimo nacisku, który kładą obie strony na tę kwestyę osobistą, pozostanie ona wskutek obopólnych ustępstw w zawieszeniu i że oba kluby wejdą w nową większość bez uszczuplenia swych sił.

Jednym z głównych punktów, których dotyczą obrady obecne, jest dalej przyszły skład gabinetu. Niemcy żądają dla członków swego stronnictwa co najmniej dwu tek, twierdząc, że tylko przyznanie im udziału w rządach dałoby dostateczną rękojmię na przyszłość i uspokoiłoby ich co do rzetelności zamiarów hr. Taaffego. Jeśli prezes gabinetu zgodzi się na to żądanie, co wcale nie jest nieprawdopodobnem, w takim razie zamianuje on niezawodnie równocześnie ministra czeskiego, a ponieważ wedle wieści krążących tu od niedawna, liczba członków gabinetu ma być powiększona niebawem przez nominacyę p. Bilińskiego ministrem komunikacyi, przeto byłby znów wilk syty i koza cała. Niemcy mieliby swych ministrów, a dotychczasowa równowaga gabinetu pozostałaby nienaruszoną. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że do tych ministrów niemieckich nie będzie należał Plener, znienawidzony ogólnie w kołach rządowych i u dworu.

Jakim więc byłby program tej nowej większości? Byłby to poprostu program taki, jakim zajmują się parlamenty całego świata, z wyjątkiem Austryi. Nie mówionoby o ugodzie czeskiej i o państwowym języku niemieckim, lecz o sprawach ekonomicznych i społecznych, a w szczególności zajmowanoby się w najbliższym czasie reformą prawa prasowego, kodeksu karnego i podatku dochodowego.

Widzimy na pierwszy rzut oka, że taki stan rzeczy byłby wprost idealnym i że jak wszelkie ideały posiada on jedną wielką wadę — że nie daje się urzeczywistnić. To też wszyscy, którzy uważają za wielce prawdopodobne, iż z rokowań obecnych wyjdzie większość stała, przekonani są o tem, iż ona będzie rzeczą najbardziej niestałą pod słońcem. Nie ludzi się też niezawodnie pod tym względem hr. Taaffe. Jakąż więc być może rachuba tego biegłego rachmistrza w tej chwili? Jaką odpowiedź znajduje on na owo pytanie najważniejsze, które przy rozpatrywaniu sytuacyi dzisiejszej nasunąć się musi każdemu: co potem?

Główną zmianą, którą wywołałoby utworzenie nowej większości w dotychczasowem położeniu, byłoby całkowite lub prawie całkowite usunięcie ugody czesko-niemieckiej z porządku dziennego. Zmiana ta nie mogłaby pozostać bez wpływu na stanowisko młodo-czechów w ich kraju. Byliby oni stronnictwem zwycięzkiem, chociaż znajdującem się w opozycyi. Cóż więc może być naturalniejszego, niż przypuszczenie, że wówczas zaczęłyby się zacierać coraz bardziej owe cechy radykalizmu, które wytworzyły się w nich wskutek walki dotychczasowej i uniemożliwiły hr. Taaffemu zawarcie sojuszu z nimi? Kto wie, czy prezes gabinetu, który dowiódł tak często, że rozumie się na psychologii politycznej, nie myśli dziś już o tej zmianie i czy układając się z niemcami, nie pociesza się nadzieją, że przygotowuje sobie tym sposobem w Czechach stronnictwo umiarkowane, „eine regierungsfähige Partei,“ wedle pojęć austryackich.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 10 stycznia rozpoczął się w Paryżu „sądny dzień,“ przedewszystkiem dla kierowników Towarzystwa panamskiego. Karol Lesseps (syn Ferdynanda, oskarżony o sprzeniewierzenie i roztrwonienie sum akcyonaryuszów), oświadczył krótko i węzłowato: „B. minister Baihaut żądał od nas za wniesienie do Izby projektu emisyi losów panamskich, miliona fr. Projekt upadł w parlamencie, ale daliśmy ministrowi 375,000 fr. Sprzedajna prasa paryska również domagała się łapówek (nawet *Temps* i *Journal d. Débats*). Hertzowi wypłaciliśmy 600,000 fr. Oblegano nas ze wszech stron z żądaniami pieniędzy; nie mogliśmy odmawiać, jak nie odmawia się złodziejowi zegarka w lesie.“ Ów minister Baihaut został uwięziony, a także niejaki Blondin, prokurent bankowy, który pośredniczył w łapownictwie. Przypuszczać należy, że jak Lesseps, tak inni nie będą oszczędzali współwinowajców i że wreszcie cała sieć szachrajstw wypłynie na wierzch.

Dzień 10 stycznia był również sądnym dla prezesa Izby, Floqueta, który zrzekł się tej godności (wybrano K. Perriere'a) oraz dla gabinetu, który podał się do dymisyi.

Prasa ma swój język przesadny, alarmowy, którego używa w każdym ważniejszym wypadku. Jeżeli więc ogłasza, że „Drumont, Andrieux i Rochefort (posiadacze dowodów) trzymają obecnie losy Francyi w swych rękach,“ to rzuca frazes, z którego bezpiecznie można się rozśmiać.

Gazety niemieckie doniosły, że Wilhelm II podczas przyjęcia noworocznego miał bardzo ostrą przemowę do generałów i wspomniawszy o projekcie wojskowym, wyraził się stylem „nowego kursu,“ grożąc „zmiażdżeniem“ każemu, kto w armii opierać się będzie jego woli. Otóż pisma rządowe zaprzeczyły tej wiadomości i wyraziły naganę ze strony cesarza dla tego rodzaju plotek. Wiarogodny wszakże tekst słów monarszych nie został przytem podany, z czego skarceni wnoszą, że mowa noworoczna wcale nie brzmiała łagodnie.

W Sigmaringen, gnieździe Hohenzollernów, odbył się uroczyście obrzęd zaślubin następcy tronu rumuńskiego, Ferdynanda, z księżniczką edynburską. Na gody to oprócz króla Korola i jego świty, przybył także cesarz niemiecki i rozmaici dostojnicy, a między nimi poseł ruski w Berlinie, hr. Szuwałow.

Wybuchła znowu zmowa górników w okręgach Gelsenkirchen i Essen, która szerzy się coraz dalej. Były przytem wypadki podłożenia bomb, które świadczą, że szalony anarchizm wetknął w to bezrobocie swą rękę.

Nareszcie projekt samorządu Irlandyi ruszył się — przynajmniej o tyle, że został przyjęty przez ministeryum i wkrótce ma być przedstawiony parlamentowi. Nadchodzi więc chwila walnej bitwy o *home-rule*, której rezultat jest wielce zagadkowy. Bo gdyby go nawet przyjęła Izba gmin, co jest także wątpliwe, pozostaje jeszcze Izba lordów, a wiadomo, jakiego gatunku ptaki w niej zasiadają.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej poczerpnęły silną pobudkę do ograniczenia wychodźtwa z Europy w nieustającej a nawet wzrastającej cholerze. Zwłaszcza wchodzi w grę Hamburg, gdzie epidemia znowu objawiła się i trwa ciągle. Straszny ten wróg nie obiecuje ustąpić prędko z Europy.

BADANIA NAUKOWE.

TRYLOGIA HISTORYCZNA.

Antropologia zwolna, ale nieustannie rozszerza naszą znajomość dziejów fizycznych rodu ludzkiego. Wykazuje ona, że z teraźniejszości zgoła niepodobna jeszcze wnioskować o przeszłem rozmieszczeniu ras i ich wzajemnem zmieszaniu. Grupy np. żółtoskóre, zajmujące zwarcie cały wschód Azyi, zdaje się, są przybyszami późniejszymi. Nauka pod żółtą skórą odkrywa szczątki ludności innej, jasno śniadej barwy, o nosie wypukłym, posiadającej włosy miękie, kędzierzawe, które należy bezwarunkowo zaliczyć do grupy, pokrewnej innym szczepom białym. A rozmieszczenie tych szczątków wskazuje, że należały one do tych okolic jeszcze przed zjawieniem się tutaj żółtoskórych. Góry południowe w Chinach i indochińskie roją się drobnymi ludami „barbarzyńskimi,“ stanowczo odmiennymi od tych, które osiadły naokoło i zajęły porzecza urodzajne. Świeżo jeden z podróżników angielskich, mówiąc o tych szczepach, nie mógł powstrzymać się od mniemania, że „to są europejczycy!“ Te same typy odnajdujemy u góralów w. Borneo, a pierwsi europejczycy, którzy zawitali do Polinezyi, z podziwem spostrzegli tu i owdzie (np. w N. Zelandyi), pokrewne sobie rysy. Nie chodzi nam tu zgoła o szczegółowe skreślenie dawnej etnografii owych typów białych, lecz tylko o zaznaczenie, jak wyniki antropologii nowoczesnej rozchodzą się z przyjętem mniemaniem. Antropologia zbiera dotychczas przedewszystkiem materyał surowy, powstrzymując się od wszelkich wniosków przedwczesnych, które niekiedy byłyby raczej zawadą, aniżeli dźwignią dalszego postępu. Lepsze poznanie przeszłości rodu ludzkiego na podstawie czaszek kopalnych, stawiające dzisiaj zaledwie pierwsze kroki, jest nieodzownym warunkiem posunięcia wiedzy o ubiegłych dziejach. Równie niezbędnym środkiem pomocniczym jest większy zasób materyału geologicznego; bez znajomości lądów i mórz oraz klimatu różnych okolic podczas ostatnich kilku setek tysięcy lat niepodobna w żaden sposób bliżej oznaczyć wędrówek rasowych. Jak widzimy tedy, antropologia raczej wskazała pola do uprawy, aniżeli je uprawiła. Stosunek ten unaocznia się doskonale w tak zwanej „kwestyi aryjskiej.“ Wypłynęła ona na wierzch znowu przed kilku laty, wówczas kiedy mniemano, że została na zawsze załatwioną. Lingwiści zaspokoili się, gdy na podstawie pewnego szeregu danych wyszukali dla aryjczyków prasiedzibę gdzieś w Azyi. Tymczasem antropologia zapytała naprzód, kogo należyć uznać za przedstawiciela czystej krwi aryjskiej, czy blondyna długogłowego, czy też inne typy rasowe, wchodzące dzisiaj w skład ludów, mówiących językami pochodzenia aryjskiego; następnie znowu wprowadziła do nauki sprawę prasiedziby, wskazując słusznie, że nawet gdyby dzisiejszy klimat danych okolic azyatyckich zgadzał się z florą i fauną, jaką można wywnioskować z porównawczego oświetlenia źródłosłowów aryjskich, to jeszcze nie dowodzi, aby ta zgodność zachowała moc swoją i dla dalekiej przeszłości. Rozpoczęły się dociekania rodowodu aryjczyków, należące dzisiaj może do najbardziej ożywionych. Atoli wśród antropologów panuje wstrzemięźliwość. Raczej burzą przesądy nauki, aniżeli usiłują wznieść odrazu coś nowego. Przyznają się, iż brak im przedewszystkiem gruntu faktycznego pod nogami, jeżeli idzie o ostateczne a stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi, wskazują względnie mały rozwój wiedzy antropologicznej o człowieku kopalnym ze stanowiska rodowego, nieokreśloność i chwiejność wskazówek ze strony geologii, wreszcie niedaleko posuniętą analizę rozmieszczenia rasowego w teraźniejszości.

Lecz im ostrożniej odzywają się antropologowie wraz z geologami, tem większa niecierpliwość ogarnia przedstawicieli lingwistyki. Sypią oni hipotezy jak z rękawa. Minęły jednak te czasy, kiedy na antropologię i jej roszczenia spoglądali z litosnym uśmiechem, a o danych geologicznych nie chcieli nawet słyszeć. Owszem, czerpią teraz

obficie z jednej i drugiej nauki, a dodawszy do tego kilka zestawień lingwistycznych, parę porównawczych legend i podań, otrzymują nową hipotezę o początku danego szczepu. Tych hipotez mamy dzisiaj w zakresie kwestyi aryjskiej tyle, ilu lingwistów wzięło się do rzeczy, a rozmaitości rozwiązań dotrzymać kroku może tylko pogwałcenie przytaczanych faktów geologicznych i antropologicznych. Kto miał do czynienia z wywodami lingwistów o początku jakiejś cywilizacyi lub podaniu, spostrzedz musiał pewną dowolność w oznaczaniu dat i swobodnem dodawaniu lub odejmowaniu stuleci. Swobodę tę wprowadzono również do badań rodowodu aryjczyków, przyczem całe opoki geologiczne bywają przesuwane jako zwykłe setki lat... Wymowny obrazek takiego postępowania spotykamy w świeżo ogłoszonej pracy p. J. S. Stuarta Glennie, odczytanej na ostatnim zjeździe oryentalistów. Autor przytacza z dumą czyjeś słowa, że „starodawna historya świata pod ręką oryentalistów przybiera postać wspaniałej trylogii dramatycznej..." Owa trylogia polega na rozstrzygnięciu trzech pytań: rodowodu rasy białej na globie ziemskim, ukazania się grupy aryjskiej i wreszcie początku cywilizacyi białej. Przyjrzyjmy się wywodom autora.

Początek rasy aryjskiej — twierdzi on— nie zlewa się z powstaniem szczepu białego, ale jest sprawą o wiele późniejszą. Grupa biała już oddawna istniała i dopiero zpośród niej pod wpływem sprzyjających warunków wyłonili się aryjczycy. Świadczą o tem dane historyczne, aryjczycy bowiem na scenie dziejowej ukazali się, kiedy znano już oddawna inne grupy białe. Wzorów tej przed-aryjskiej ludności białej, zdaniem autora, dostarczają władcy starodawnego Egiptu i Chaldei. Mianowicie, jeżeli przyjrzymy się rysom postaci ówczesnych na różnych pomnikach sztuki, wreszcie w mumiach egipskich, spostrzeżemy wszędzie nos wystający, delikatny profil twarzy, długą brodę i obfite a miękie włosy, cerę mniej więcej jasną, słowem oznaki, które uchodzą za znamiona charakterystyczne szczepu białego. Ta ludność staroegipska i chaldejska, jak o tem świadczą też dochowane podania, odróżniała siebie sama starannie od grup czarnych i wogóle kolorowych. Wreszcie jako dalszy dowód, że dawni władcy Egiptu i Chaldei byli takiego pochodzenia, przytacza istnienie całych plemion białych (blondynów) w górach północnej Afryki, wreszcie w Indochinach, Chinach itd. Stuart-Glennie tedy dochodzi do wniosku, że północną Afrykę, sąsiednie okolice Azyi itd. zaludniały szczepy białe jeszcze przed pojawieniem się aryjczyków. Otóż zachodzi pytanie, gdzie i kiedy ukazała się ta „archaiczna" rasa biała. Podania chaldejczyków i egipcyan wyprowadzają praojców swego szczepu z północy. To daje możność autorowi do przypomnienia sobie, że według geologów rozmieszczenie wód było niegdyś odmiennem. Tam, gdzie teraz rozciągają się porzecza syberyjskiej Obi, w przededniu obecnej epoki geologicznej istniało morze, które szło od oceanu Północnego, obejmowało przestrzeń dzisiejszego morza Aralskiego i Kaspijskiego, rozlewało się szeroko po nizinie wschodnio-połnudniowej Rosyi i zapewne łączyło się z Azowskiem. Przejścia zatem z Europy do Azyi nie było — wnioskuje oryentalista angielski — i nasza część świata stanowiła wyspękę (zaznaczmy, iż południowa Europa z północną Afryką prawdopodobnie były wtenczas połączone). A więc archaiczna rasa biała nie mogła się ukazać w Europie i stąd rozlać się po śródziemnomorzu, a ponieważ przyszła z północy, uczynić to mogła, przybywając z płaskowzgórza środkowo-azyatyckiego. Trzeba jednak dowieść, że tak było a nie inaczej. Odbywa się to prosto. Cywilizacye chaldejskie i egipskie występują mniej więcej około 8-10 tysięcy lat przed naszą erą, a zatem około tego czasu przywędrowali tutaj przedstawiciele białego szczepu przedaryjskiego. Atoli czy koniecznie mieli oni wyjść z Azyi? Czy jeszcze wtedy istniało owo morze eur-azyjskie od oceanu Północnego do Kaspijskiego? Autor ani chwili nie waha się z odpowiedzią, a dowodu poszukuje w podaniu biblijnem o potopie. Zostało ono wciągnięte, według studyów oryentalistów, po raz pierwszy do wielkiego eposu chaldejskiego około wieku XXIII-go przed naszą erą, zatem o wiele później, aniżeli osiadła w Egipcie archaiczna rasa biała. Wypadek, o którym opowiada owo podanie, zaszedł w jej obecności, zresztą i sam mit jasno mówi, że ocalał tylko człowiek rasy białej. Usiłowano kilkakrotnie objaśnić potop na podstawie faktów naturalnych. Suess, znany geolog, w tym celu wprowadza wspólną działalność trzęsienia ziemi i cyklonu, który wkroczył na ląd mniej więcej od zatoki Arabskiej. Atoli tłomaczenia te nie zadowoliły Stuarta Glynnie. Daje on zatem hipotezę nową, która wygląda bardzo poważnie w tekście pracy jego, gdzie posiada na swoje zawołanie odnośniki i inne cechy zewnętrzne pracy naukowej, lecz dla każdego geologa i wogle przyrodnika zakrawa na żart istotny. Mianowicie skutkiem podniesienia się lądu syberyjskiego morze eur-azyjskie zaczęło wyparowywać, co sprowadziło ulewy. Słowem „niebiosa się otwarły." Parowanie to z poprzedniem podnoszeniem odbywało się niezwykle szybko — niemal w ciągu paru miesięcy. Do tego dołączyło się działanie cyklonu morskiego (wszak od przybytku głowa nie zaboli!), które, zaznaczmy od siebie, ciągnęło się najwyżej kilka godzin. Potop więc został wytłomaczony, a z nim zniknięcie obchodzącego nas morza. Zdarzyło się to na 23 wieki przed naszą erą, a ponieważ archaiczna rasa biała ukazała się o wiele wcześniej, przeto nie mogła przybyć z Europy żadną miarą i musiała gdzieś zrodzić się w Azyi środkowej. Teraz tylko chodzi o oznaczenie, gdzie i kiedy grupa biała dała początek aryjskiej. Autor stawia kwestyę w sposób „przyrodniczy." Ma przed sobą zadanie nawskróś biologiczne, mianowicie, w jakich warunkach z rasy danej powstać może odmiana nowa, która między innemi przybiera też nową mowę. Otóż potrzebne są ku temu warunki odmienne od dawnych, które istniały w starem łożysku, kiedy morze wyschło. Szczepy sąsiednie wtargnęły na wilgotne (a zatem musiało się to zdarzyć w krótkim przeciągu czasu) po wyschnięciu przestrzenie i tutaj zrodziły aryjczyków. Stało się to prawdopodobnie w stepach zachodnio-południowej Rosyi. Na to, zdaniem autora, wskazują i inne świadectwa. Aryjczycy wkraczają do Turcyi starożytnej około w. XV—XX przed początkiem ery naszej; w Azyi ukazuje się po raz pierwszy w okolicach Chiwy dzisiejszej, według jednych wyliczeń w w. IX, według innych w XV przed nar. Chrystusa. Punkt wyjścia ich musiał leżeć gdzieś w pośrodku, a zatem w wskazanej poprzednio miejscowości. (Ponieważ zaś staro-egipcyanie należeli też do rasy białej i niepodobna, aby aryjczycy otrząsnęli się zupełnie z wpływów przeszłości, uczony anglik sądzi, że może dałyby się odszukać w źródłach jakieś wspólne pierwiastki).

Teraz, kiedy wiemy, gdzie i jak powstali aryjczycy, pozostaje nam rozejrzeć się nieco w trzeciej części „wspaniałej trylogii historyczno - dramatycznej," mianowicie w rodowodzie cywilizacyi aryjskiej. O tem da się powiedzieć niewiele. Na arenie historycznej aryjczycy ukazują się jako pasterze. Jedzą mięso konia i drobiu, ale nie oswoili ani pierwszego, ani drugiego. Posiadają już trzody bydła rogatego i owiec oraz psa. Prócz rodzimej miedzi nie używają innego metalu, tylko ociosują krzemień. Nie znają tkactwa i posiadają garncarstwo zarodkowe. Późniejszą cywilizacyę przejmują do ludów podbitych.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie obraz, roztoczony przed nami w pracy uczonego oryentalisty. Są tutaj ustępy, wprost rażące antropologa lub geologa. Mimowoli czytelnik może zadać sobie pytanie, w jakim celu podaliśmy treść tej pracy, która jest jednym z poronionych płodów pracowitości naukowej? Otóż usunąwszy na bok zgłębianie każdego faktu, np. dociekanie z półsłówek, jak długo odbywało się w pojęciu autora wysychanie morza eur.-aryjskiego, rzecz cała z pozoru nie przedstawia nic rażącego. I nie wątpimy, że w dalszych hypotezach o początku aryjczyków praca p. Glynnie zostanie przyjętą przez lingwistów, jako przyczynek bardzo ważny! Szło nam o wprowadzenie czytelnika do fabryki, w której wykończa się wiele płodów naukowych. Znamy z ostatnich czasów tomowe prace lingwistów o początku aryjczyków, to znowu o wędrówkach celtów lub dziejach przedhistorycznych słowian, które niekiedy przyniosły autorom sławę, a które są podobnem gwałceniem danych antropologicznych lub geologicznych. Na posiedzeniach spirytystycznych stołki tańczą, a kanapy skaczą. W poszukiwaniach lingwistów olbrzymie morza wysychają w ciągu kilku miesięcy, rasy ludzkie przekształcają się niby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, a same dane antropologiczno-geologiczne układają się stosownie do podań i mitów. Spirytystów uważamy za niepoczytalnych, ale takich lingwistów-historyków czcimy jako uczonych. I dlaczegóż nie! Tyle jest tam cytat, odsyłaczów, porównań...

L.

SZKICE PRZYRODNICZE

Stanisława Kramsztyka.

Sporo ukazuje się u nas książek popularnych z zakresu przyrodoznawstwa, oryginalnych i tłomaczonych, a jednak gdy ktoś pyta o wskazówkę, co czytać w tym przedmiocie, człowiek, poważnie rozumiejący odpowiedzialność za podaną radę, z trudnością może wyszukać kilka tytułów dzieł, wydanych przeważnie przed 10—15 laty i już prawie wyczerpanych. Z prawdziwą więc przyjemnością witamy książkę nową i przytem oryginalną, o której można powiedzieć wiele dobrego.

Antor „Szkiców przyrodniczych" łączy w sobie wszystkie warunki, które się składają na dobrą popularyzacyę, tj. znajomość przedmiotu, ścisłość i krytyczność wykładu oraz talent pisarski. Wiele też przyczynia się do zajęcia czytelnika miłość autora dla przedmiotu swego, przebijająca się na każdej niemal stronie.

P. Kramsztyk doskonale rozumie i określa warunki dobrej popularyzacyi, gdy mówi w przedmowie: „Nie można rzeczy prowadzić w sposób anegdotyczny i poprzestać wyłącznie na drobiazgach, dlatego tylko, że łatwiej je napisać i przeczytać... Są całe książki głośno i chwalone nawet, które się w ten sposób z nauką załatwiają. Możemy tam lekko przeczytać, że do słońca tyle a tyle milionów mil, albo że światło czerwone jest objawem tylu a tylu trylionów drgań na sekundę, ale nie poznamy zgoła metod, które nam świadomość tę osiągnąć dozwoliły. Taka wszakże znajomość rzeczy pozorna jest tylko: nie to bowiem, co wiemy, ale jak wiemy, stanowi umysłową posiadłość naszą." Nie za „lekkością" też, której wymagają od książki księgarze i publiczność, ugania się autor, lecz chce być dostępnym, a „dostępność osiąga się jedynie sposobem przedstawienia rzeczy, niecomijaniem trudności, ale ich

pokonywaniem. Nie treścią swoją, ale formą różnić się tylko może nauka popularna od ścisłej.“ Trzeba przyznać, że formę tę posiada p. K. w wysokim stopniu. Słusznie występuje również przeciw innemu wymaganiu, bardzo rozpowszechnionemu wśród publiczności naszej. Przywykła ona traktować wszystko ze stanowiska mody, pyta zwykle: „a czy to ostatnie słowo nauki?“, jak gdyby się obawiała, że ją uraczą modą przeszłoroczną. „I na to pytanie czekałem — odpowiada autor. Ostatnie słowo nauki ma dla nas urok szczególny, stało się frazesem ulubionym; jest to ułuda, że najnowsze odkrycie i hipoteza najświeższa za umiejętność całą starczą, że wiedzę poprzednią strącają jak rupiecie bezużyteczne.“

Krytycyzm pojmowania wyników wiedzy ujawnia się w dziele p. Kr. szerokiem uwzględnieniem jej pierwiastku historycznego, a nie możemy lepiej wyświetlić jego znaczenia, jak przytaczając doskonałe porównanie autora:

„Gdy błyskawica nagle pomroki ciemnej nocy rozjaśnia, toczący się wóz nieruchomym się nam wydaje; aby bieg kół dojrzeć, trzeba oświetlenia trwałego. W blasku iskry elektrycznej bieżącej chwili nauka przedstawia się jak posąg wykończony: w pełnem oświetleniu historycznem poznajemy ją jako organizm żyjący, na tle dziejowem ujawnia się w niej żywioł zmienności.“ Któż istotnie nie przypomina sobie pierwszych lat studyów uniwersyteckich, kiedy wiedza wydawała się posągowo wykończoną, prawie dogmatycznie sztywną; ale dość żeby upłynęło kilka lat, w ciągu których były student przyrody nie zrywa z nauką, iluż przemian w niej sam będzie świadkiem! Cóż dopiero, gdy spojrzy na nią w historycznem oświetleniu stuleci! Ileż teoryj, które wydawały się niezachwianemi, przemija prawie bez śladu; ile prawd niezbitych przechodzi do zakresu mytu! „Jest linia krzywa, spiralną logarytmiczną zwana, która się w skrętach niezliczonych wije dokoła punktu, opasuje go coraz gęściej, zbliża się doń ustawicznie, ale dosięgnąć go nigdy nie zdoła. Taki jest los nauki — ostatnie jej słowo na niedościgłym mieści się punkcie.“

Pozwoliłem sobie na te nieco przydługie cytaty z przedmowy autora dlatego, że doskonale wyświetlają prawdziwy pogląd na naukę i na słuszne wymagania względem dobrej popularyzacyi, tak dodatnio odbijające od pospolicie spotykanych nietylko wśród czytelników, ale i wśród autorów; pragnąłbym więc, aby jaknajgłębiej zapadły w umysł czytelników — a wiadomo, jak mało jest między nimi takich, którzy czytują przedmowy autorów. Prócz tego uwagi te służą za charakterystykę całej książki. Z 17 artykułów w niej zawartych 7 jest poświęconych zagadnieniom kosmologicznym i astronomicznym (czas, zagadka wnętrza ziemi, wymiary i budowa wszechświata, o ruchu gwiazd stałych, gwiazdy zmienne, o ważeniu ciał niebieskich, o wielkości światów zamieszkanych), 6 — zagadnieniom fizycznym (historya gazów, o naturze pierwiastków, energia *perpetuum mobile*, o wysokości atmosfery, balony); dwa ostatnie są ogólniejszej treści (o przepowiedniach w nauce, człowiek i przyroda).

Nie możemy wdawać się w szczegółowy rozbiór pracy p. Kramsztyka; pragnęlibyśmy tylko zwrócić uwagę tych, którzy interesują się podstawami fizyki nowoczesnej na rozdziały: historya gazów, energia i *perpetuum mobile*, a nadto chcielibyśmy widzieć książkę p. Kramsztyka nietylko w ręku publiczności, szukającej odpowiedzi ogólniejszej na główne zagadnienia wszechświata, ale też przyrodników fachowych, gdyż i tacy wiele z niej skorzystają, jeśli nie na faktycznej treści, to na ogólnem pojmowaniu zadań i metody wiedzy przyrodniczej.

W końcu niech mi będzie wolno zrobić kilka uwag krytycznych. W artykule „Czas,“ którego treść jest mniej jednolita i mniej zdolna — o ile sądzić mogę — interesować ogół, autor odstępuje nieco od wygłaszanej przez siebie i gdzieindziej ściśle przestrzeganej zasady wstrzemięźliwości sądu naukowego, uznając za fakt niewątpliwy przyjęte przez Adamsa zwolnienie obrotu ziemi. Tisserand, poddając krytyce znaczenie dla astronomii zaćmień historycznych *), przychodzi jednak do wniosku, że kwestya ta pozostaje jeszcze w zawieszeniu. Nie zgadzamy się również z tem, aby pesymistyczne rokowania co do przyszłości słońca i ziemi, które autor bezwzględnie podaje za Thomsonem i całą prawie literaturą, poruszającą ten przedmiot, były nieuniknionym wynikiem wiedzy krytycznie pojętej. P. Kr. doskonale wyświetlił stosunek nauki do jej celów ostatecznych przez porównanie jej do spirali logarytmicznej. Niechże mi wolno będzie użyć również geometrycznego porównania. Wiedzę naszą dzisiejszą możemy przyrównać do nieskończenie małego odcinka w nieznany nam sposób przebiegającej linii krzywej, któraby przedstawiałaby doskonałą znajomość całego wszechświata. Każdy taki drobny odcinek krzywej wydaje się jakby linią prostą. Zdaje się nam, że według kierunku, jaki posiada ta linia, możemy, przedłużając ją, określić, w jakich punktach przetnie ona osie współrzędnych, gdzie się spotka z innemi liniami itd. Ale ta stałość kierunku jest pozorną. Już historya wiedzy pozwala nam sądzić o tem; to, co bierzemy za linię prostą, jest, być może, powiemy nawet — prawdopodobnie, linią krzywą, przebiegającą w zawikłanych i nieznanych nam skrętach, a nasze dzisiejsze przepowiednie o czasie zgaśnięcia słońca może wydadzą się potomkom naszym również naiwnemi, jak nam się wydają starożytne karty świata, w których Gibraltar styka się z Azyą.

Do drobnych usterek należy wyrażenie „poprzedzanie faktów równoznacznych,“ zam. „cofanie się“; chwila zrównania dnia i nocy następuje z przebiegiem wieków coraz wcześniej, ale same punkty przecięcia równika i ekliptyki cofają się (względem kierunku biegu ziemi); dlatego też dawne utarte wyrażenie cofania się jest poprawne. W historyi gazów, zdaje mi się, że niesłusznie pominięto zostało imię Cagnarda Latoura, który na podstawie spostrzeżeń nad wpływem temperatury na podniesienie wody w rurkach włoskowatych przyjmował pojęcie krytycznej temperatury i dał jej wielkość dla wody, jakkolwiek nie zrozumiał całego znaczenia tej liczby. Historyi gazów wogóle nie możemy uważać za skończoną; nie weszły do niej nadzwyczaj ciekawe wyniki Van-der-Walsa, dotyczące stanu pośredniego pomiędzy cieczą a gazem. Prawda, że popularyzacya tych rzeczy napotykałaby na znaczne trudności, jednak nie nieprzezwyciężone dla autora takiego talentu popularyzatorskiego, jakim jest p. Kramsztyk. Pozwolę sobie również przypomnieć dla honoru naszej ojczystej nauki, że wcześniej niż Dewar w Londynie, kieliszek ciekłego powietrza pokazał p. Olszewski w Krakowie (na zeszłorocznym zjeździe przyrodniczym) pół szklanki ciekłego tlenu licznym zgromadzonym tam słuchaczom.

Nie chcemy pomnażać tych drobnych uwag, nieczyniących zresztą ujmy ani książce, ani jej autorowi i kończymy życzeniem, aby „Szkice“ p. Kramsztyka znalazły jak największe rozpowszechnienie wśród ludzi interesujących się przyrodoznawstwem i najogólniejszemi zagadnieniami wszechświata fizycznego.

Gdy po przejrzeniu dzieła wróciłem z ciekawością do okładki, aby poznać nazwisko feniksa-wydawcy, ktory obdarzył nas wreszcie dobrą książką przyrodniczą i z zamiarem złotemi literami wydrukować to imię... nie znalazłem go. „Szkice“ wydała redakcya prac matematyczno-fizycznych.

W. M. Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NIETZSCHEANIZM.

II.

Przełomu w poglądach Nietzschego dokonała teorya Darwina, czyli, mówiąc ściśle, idea „walki o byt.“ Stosując myśl tę do rozwoju ludzkości i do zasad t. zw. „moralności“, wywnioskował on, że ród ludzki nie może udoskonalać się, póki panują zasady, wkładające na jednostki „silne“ obowiązek poświęcania się dla „słabych,“ to znaczy póki obowiązującym jest kodeks ascetyczny. Wszystkie cnoty tego kodeksu: „litość,“ „rezygnacya,“ „pokora“ pozbawiają osobę „silną“ przewagi, udzielonej jej wedle praw przyrody nad „słabą“ a ponieważ owe jednostki uprzywilejowane zawsze są w mniejszości, przeto typ ich ulega zepsuciu, zatraca swą czystość, nie przyczynia się do polepszenia rasy ludzkiej, jakby powinien. Należy więc znieść te sztuczne zapory i usunąć pojęcia owych cnót, a nawet pojęcie powinności, słowem, zrównać ludzkość z resztą rodzajów zwierzęcych, wśród których egoizm indywiduów „silnych“ jest korzystnym dla całej rasy.

Nie jest to jeszcze sławna teorya Nietzschego, lecz aby dojść do niej, potrzeba zrobić zaledwie krok jeden. Trzeba mianowicie odpowiedzieć na pytanie: kto jest „silnym,“ a kto „słabym“?

Dotychczas mieliśmy do czynienia z myślicielem; teraz odzywa się odrazu poeta Nietzsche. Odpowiada on na owo pytanie, jak łatwo pojąć, nie przedmiotowo, lecz pod wpływem silnego wrażenia osobistego.

Wrażenie to wywarł nań Wagner. Osobistość genialnego kompozytora, z którym żył w przyjaźni, jego poezye i muzyka, wszystko olśniewało go wówczas. Nie dziw więc, że filozof-poeta ulepił sobie swych ludzi „silnych“ na wzór bohaterów germańskich. Przyjaźń z Wagnerem zamieniła się później na głęboką nienawiść, lecz piętno wyciśnięte na umyśle Nietzschego pozostało widocznem.

Zażyłość z Jakóbem Burckhardtem, sławnym historykiem renesansu włoskiego, wpłynęła nań prawdopodobnie w podobnym duchu. Przypatrując się wielkim postaciom zbrodniarzy i bohaterów owych bliskich nam wieków, musiał on dostrzedz w nich rysy podobne do tych, które podziwiał już w mistycznych Siegfriedach i Hagenach: olbrzymią siłę popędów, dzikość temperamentu, nieposkromionego rozwojem umysłowym, wspaniałą żywotność wielkich drapieżników.

Mamy więc rodowód „silnego“ człowieka, z którym spotykamy się w filozofii Nietzschego. Siłę jego stanowi instynkt a nie rozum, wola a nie wiedza. Właściwie zaś siłę tę stanowią — idealnie zdrowe nerwy. Posiadacz ich powinien, wedle Nietzschego, być zarazem bohaterem i geniuszem. Dlatego mówi on też czasem o „arystokracyi mozgu i rdzenia pacierzowego.“

Arystokrzcya ta podbija świat cały, jeśli potrafi wyzwolić się z więzów przestarzałej moralności. Dotychczas mało jest takich oswobodzonych jednostek, czyli właściwie, jak przebija wyraźnie z dzieł Nietzschego, istnieje jedna tylko – sam Nietzsche. To też praca dokonana przezeń jest ważniej-

*) Por. *Prawda* nr. 19 z r. 1892.

sza, niż wszystko, czego kiedykolwiek dokonano na świecie. Ludzkość dotychczasowa istniała tylko na to, by wydać zbawcę swego, Nietzschego.

Tu wychyla z poza pleców myśliciela i poety głowę — waryat. Rodzajem choroby umysłowej, której uległ w końcu filozof niemiecki, była mania wielkości (Grössenwahn). Tryumfujący śmiech oswobodziciela ludzi zamienił się na dziki ryk szaleńca.

Darwinizm, kult bohaterów i jednostek wielkich, wreszcie mesyanizm — oto czynniki, które złożyły się na wytworzenie „systemu“ Nietschego. Zatrzymałem się tu dłużej nad nimi, gdyż zespolenie się ich w umyśle filozofa i wynik tej kombinacyi, będą dla nas nader pouczające, gdy przypatrzymy się później przyczynom nadzwyczajnego powodzenia doktryn Nietzschego w Niemczech.

Przedtem chciałbym jednak wspomnieć jeszcze o kilku pracach tegorocznych, dotyczących samej jego filozofii a nie nietzscheanizmu.

Niejaki Herman Türk spróbował wykazać, że wszystkie myśli Nietzschego są chorobliwe („Friedrich Nietzsche und seine philosophischen Irrwege“). Ma się rozumieć, że mu się to udało.

Niejaki Maks Jerbst odpowiedział na to broszurą p. t. „Tak i nie“ i dowiódł mu, że nie miał słuszności. Ma się rozumieć, że mu się to udało jeszcze lepiej. Zestawiając bowiem dowolnie kilka aforyzmów, pisanych stylem tak dziwacznym, jak ów, którego używał Nietzsche, można dowieść, co się komu podoba.

Nie brak też i w zeszłorocznej literaturze zestawień Nietzschego z rozmaitemi znakomitościami. R. Schellwien porównał go dość trafnie ze sławnym filozofem egoizmu, autorem genialnego dzieła „Jednostka i jej własność,“ Maksem Stirnerem. Stanisław Przybyszewski, młody i zdolny polak żyjący w Berlinie, porównał go wreszcie — z Chopinem w pracy zajmującej, chociaż pisanej nieco afektowanym stylem. („Chopin und Nietzsche, Berlin, Fontane et C-o 1892).

Widzieliśmy, jakim sposobem powstała filozofia Nietzschego w umyśle jej twórcy. Zobaczmy teraz, jakie przyczyny historyczne wywołały ów prąd moralny, który nazwano „nietzscheanizmem.“ Jeśli bowiem dla właściwego pojęcia poglądów myśliciela należy poznać idee jego poprzedników, to dla zrozumienia poglądów ogółu, choćby one pochodziły od jakiejś genialnej jednostki, zawsze szukać należy przyczyn w dziedzinie faktów.

Przypuśćmy, że ktoś doznał w życiu ciężkiego zawodu, że np. zdradziła go istota, w którą wierzył ślepo i którą uważał za ideał doskonałości. Przez jakie stany moralne przejdzie kolejno ów człowiek? Jeśli cios był silny, to po pierwszej boleści nastąpi rodzaj zdrętwienia. Zobojętnieje on na wszystko, straci chęć do pracy i wszelkie zaufanie do swego otoczenia. Po pewnym czasie, gdy zaczną wracać mu siły, powróci i ból w zmienionej postaci; apatya ustąpi miejsca głębokiemu rozgoryczeniu. Wreszcie gdy odrodzenie to postąpi jeszcze dalej, człowiek ów zabierze się znów do pracy i rozpocznie żyć z ludźmi, chociaż przez dłuższy czas jeszcze unikać będzie wszystkiego, coby przypomnieć mu miało doznaną stratę i z pewnem niedowierzaniem zachowywać się będzie względem osób podobnych do tej, która zgotowała mu tak ciężkie rozczarowanie.

Takie koleje przeszła ludzkość w wieku ostatnim.

Doznała ona strasznego zawodu przy końcu zeszłego stulecia. Zasady rewolucyi francuskiej, w której tyle krwi przelała, ideały, które wypiastowała sobie wśród długich cierpień i upokorzeń, nie przyniosły jej szczęścia. Okazało się, że owe systemy moralne i umowy społeczne były omyłką ogromną. Były one obliczone na jeden typ „człowieka,“ który wcale nie istniał. Wytworzono je za pomocą logiki, a zapomniano o historyi. Jako podstawę przyjęto w nich hipotezę o jednolitości rodu ludzkiego — nie myśląc wcale o jej sprawdzeniu. Przeczono, że „człowiek“ jest tylko abstrakcyą i że w rzeczywistości istnieją jedynie — „ludzie.“

Stulecie, w którem żyjemy, pozostawało i pozostaje dotychczas pod wpływem owego głębokiego rozczarowania.

Po pierwszych chwilach bólu — które między innemi zaznaczyły się w literaturze byronizmem — nastąpił ów stan apatyi, w którym nie chciano myśleć o szczęściu ogólnem i o ideałach ludzkości.

Okres ten wydał w życiu społecznem — moralność „burżuazyjną,“ w polityce t. zw. liberalizm, w filozofii — system Hegla. Słynne zdanie tego ostatniego: „Wszystko, co jest, jest rozumnem“, w znaczeniu najlepszem streszcza poglądy większej części naszego wieku. Jeśli zastosujemy je do kwestyj praktycznych, otrzymamy sławne hasło ekonomii mieszczańskiej: „laissez faire, laissez passer“; jeśli zastosujemy je do zadań naukowych, otrzymamy znaną „szkołę historyczną,“ Buckle'a, Taine'a, Jheringa i wielu innych, pierwszorzędnych myślicieli, którzy wykazali nam w dziedzinach prawa, literatury, sztuki, etyki itd., że ideały są wytworami czasu i otoczenia, że są one przeto względne, czyli że nie są ideałami.

Naturalnym porządkiem rzeczy nastąpił po tej obojętności stan rozgoryczenia, który przybrał formę schopenhaueryzmu, hartmanizmu, słowem „pesymizmu,“ wreszcie zaś tętno życia odezwało się silniej, kwestya społeczna stanęła na porządku dziennym i czas nasz przybrał ową fizyognomię, na którą patrzymy dziś ze zdumieniem i którą tak często nazywamy zagadkową. Jest ona wyrazem nastroju, złożonego z nadziei i nieufności, a tworzącego niejako ostatnie stadyum owych różnorodnych przejść psychologicznych, które wywołane zostały jednem wielkiem wstrząśnieniem.

Jakież muszą być cechy tego nastroju? O ile ludzkość przy końcu przeszłego stulecia skłonna była do podporządkowywania osoby i popędów indywidualnych zasadom ogólnym, o tyle musi ona po owem wielkiem rozczarowaniu patrzeć sceptycznie na ideje, a oczekiwać swego zbawienia od silnych jednostek. Jednostki zaś, które na każdym kroku spotykały się ze zdaniem, że wszystko jest względne, że każde pojęcie i każda zasada mogą mieć racyę bytu w pewnym czasie i że nie ma niczego, coby obowiązywało zawsze i wszędzie, czując w sobie zarazem potrzebę działania i wydawania sądów, musiały oprzeć przekonanie i czyny swe na tem, co im jeszcze pozostało — na instynkcie i uczuciu.

Takim to sposobem, z „indyferentyzmu“ wyrobił się „impresyonizm.“ Zjawisko to spotykamy wszędzie, gdziekolwiek się zwrócimy. Spotykamy je w krytyce, literaturze, sztuce a wreszcie — w filozofii i etyce.

Takim „impresyonizmem“ na polu kwestyj moralnych jest właśnie ów prąd współczesny, któremu się tu bliżej przypatrujemy. „Nietzscheanizm“ — to bynajmniej nie objaw narodowo-niemiecki, chociaż najgenialniejszy jego przedstawiciel, od którego wziął nazwę, jest niemcem. Zjawisko to dostrzegamy u wszystkich narodowości, chociaż u każdej przybrał formę odrębną pod wpływem odmiennych stosunków życiowych i okoliczności historycznych.

Można rzec śmiało, że w Niemczech wycisnęły na nim swe piętno w równej mierze, jak myśli Nietzschego — osobistość Bismarka i wypadki, którym państwo to zawdzięcza swe istnienie. Słyszeliśmy już, co odpowiedział Nietzsche na pytanie zasadnicze: „Jak odróżnić silnych od słabych? Odpowiedź ta jest zbyt subtelna dla ogółu. Popularniejszej formułki dostarczyła Niemcom historya ostatnich dziesięcioleci. Brzmi ona: „Silnym jest ten, kto ma powodzenie, słabym ten, kto go nie ma.“ Postać byłego kanclerza urosła w oczach obecnego pokolenia germańskiego do rozmiarów olbrzymiej figury „nadczłowieka“, stworzonej przez Nietzschego. Polityka jego niemiłosierna, brutalna, lecz o szerokich widnokręgach i oparta na poczuciu własnej mocy, przedstawiała niejako popularne tłómaczenie sławnych zasad etyki „niemoralnej,“ wygłoszonych przez poetę-filozofa.

Jak widzimy, filozofia Nietzschego przybrała rysy zgrubiałe w chwili, gdy zmieniła się na nietzscheanizm niemiecki. Stała się ona wszakże równocześnie konsekwentniejszą i wyraźniejszą, a w jednym punkcie sprzeniewierzyła się wskutek tego nawet wprost zasadom swego twórcy, mianowicie w kwestyi narodowości. Nietzsche był kosmopolitą; pisma jego pełne są ostrych przycinków, wystosowanych do narodowców i szowinistów wszelkiego rodzaju. Nietzscheanizm natomiast jest kierunkiem skrajno-narodowym, stosując zasadę uprawnionego egoizmu jednostki do owych osobników wyższego rzędu, które zwą się narodami.

Nie dziwmy się więc, jeśli między najgorętszymi zwolennikami Nietzschego, wśród licznego zastępu autorów i publicystów, powołujących się co chwila na dzieła uwielbianego przez nich filozofa, naśladujących nawet jego sposób pisania, rozstrzygających wszystkie zagadnienia życiowe, czy to w sztuce, czy też w polityce „etyką niemoralną,“ znajdujemy samych prawie bismarkistów i skrajnych narodowców.

Kierunek ten wytworzył osobny rodzaj w piśmiennictwie niemieckiem. Typowym jego przedstawicielem jest Langbehn autor głośnej książki „Rembrandt jako wychowawca,“ która wydana bezimiennie w przeszłym roku miała niesłychane powodzenie, gdyż doczekała się w krótkim czasie prawie czterdziestu wydań. Dzieło to traktuje o wszystkiem, w stylu aforystycznym i przepełnionym zwrotami symbolicznemi. Wywołało ono niezliczoną ilość odpowiedzi, parodyj i naśladowań.

(D. n.).

Ego.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż 5 stycznia.

I. Reibrach: *La vie brutale* (Brutalne życie).

We Francyi od Sénancourta już i Chateaubrianda pesymizm wije się jak czarna wstęga przez utwory literackie. Przebywa cały szereg faz: wsącza kroplę swego jadu w powieść i poezyę romantyków, wlewa się strumieniem w arcydzieła Flauberta, skrapia pierwsze zwłaszcza utwory Zoli. W ostatnich czasach znajduje genialny wyraz w nowelach i powieściach Maupassanta. Ale od chwili jak zgasła ta lśniąca gwiazda literatury, nigdzie nie wybuchnął on tak silnie, jak w szeregu prześlicznych nowel młodego pisarza Jana Reibracha, wydanych przed kilku tygodniami, a objętych wspólnym tytułem: „Brutalne życie.“

Myśl krzepnie czasami i serce się zżyma, kiedy oko przebiega te drobnym drukiem zapełnione kilkaset stron. Nie wspominam o początkowych sześciu nowelach, składających się na księgę pierwszą, są to rzeczy słabsze, opowiadania z życia wojskowego, zaprawione raczej humorem, niż pesymizmem i nie wiem, dlaczego wciągnięte w szereg innych, łzami przesiąkłych arcydzieł. Ale od księgi drugiej, od noweli „Na wsi“ wpływamy na ocean smutków i bólów. Brutalność zalewa nas jak powódź, raz obryzguje krwią i łzami, drugi raz ciska falę mętów. W jednej noweli widzimy

obraz istoty cierpiącej i skrzywdzonej, w innej zieje przed nami otchłań brudnych instynktów zwierzęcych. I kiedy przy jednej części utworów pytamy: ach czemuż tyle łez, tyle łez! w drugiej przebiega nas mrowie odrazy i ze smutkiem szepczemy: człowiek to zwierzę...

Od drugiego cyklu zaczyna się „Brutalne życie.“ W „Na wsi“ lekarz B. powołany do Crachetów, włościan z sądsiedniej wioski, znajduje dziewczynę, objawiającą wszelkie cechy ciąży i mimo to wypierającą się macierzyństwa. W kilka dni potem wezwany do niej znowu zapowiada blizki połóg: zapewnienia o dziewictwie nie ustają. Wreszcie przychodzi na świat dziecko, lekarz opatrzywszy matkę, odjeżdża. Nazajutrz wraca: dowiaduje się, że położnica nocą „we śnie“ udusiła niemowlę. „Przygniotła je o krawędź łóżka.“ Tymczasem na twarzy noworodka aż nadto widoczne ślady zmiażdżenia, strzaskania obmyślanego, dokonanego z umysłu...

W „Nokturnie“ zięć wyrzuca sędziwego, umierającego już teścia Planchuta z izby do kuchni, potem z kuchni do komory, wyciąga z pod niego siennik, bo go wala, mieści w starym kufrze na wiązce słomy. Tu Planchut kona powoli, nikomu nic dolegając, nikomu nic ciążąc. Naraz nocą w godzinę śmierci zbiera go chęć na jabłecznik. „Daj mu — mowi zięć do żony — prędzej skończy.“ Wnoszą dzban jabłecznika, starzec wychyla go do dna i „kończąc,“ zaczyna zwracać wszystko, co wypił. Widok wstrętny, ale dla zięciowstwa zabawny; wszyscy też pokładają się od śmiechu i za boki się biorą.

Przez kilka jeszcze nowel toczy się to życie zwierzęce, życie istotnie niższe. W „Bracie“ syn strąca matkę ze strychu za to, że teraz, kiedy on ma już dwadzieścia kilka lat, ona nosi w łonie nowego dlań brata; w „Starej“ zięć odwozi do szpitala dogorywającą już teściowę, gdyż po śmierci wyprawią tam pogrzeb za darmo; w „Marzeniu“ brat zapładnia z pobudki rodziców siostrę, bo dziedzic, z którym utrzymywała stosunki i którego przyłapał na uczynku ojciec, przyrzekł w razie, gdyby powiła dziecko, fermę... Ale nigdzie autor nie rozkoszuje się swoimi obrazami, nie nurza się w zwierzęcości. Dotknął brudów, chcąc zapewne dać pełny obraz brutalności życia, lecz dotknął ich jako chłodny obserwator i żadnego nie okazał dla nich zamiłowania.

Nareszcie wo wplatających się między nowele włościańskie „Dziesięciu tysiącach franków“ występuje talent Reibracha poraz pierwszy w całej swej oryginalnosci. W „Nokturnie“ i innych odczuwa się jeszcze potrosze wpływ Zoli. Są to zresztą rzeczy najwcześniej ze wszystkich, zaraz po pierwszej księdze drukowane w *Echu paryskiem*. Tu okazuje się autor już myślicielem, głębokim, przenikającym życie do dna i niezadawalającym się obserwacyą i fotografowaniem. Życie wydaje mu się brutalnem już nie dla tego, że w całej swej istocie jest podobne do skorpiona, który żądło swe jadowite wbija głęboko w ciało ofiary, niebacznie i mimowolnie następującej na niego. Jad jego raz wywołuje skutki straszne i potężne, wykrzywia członki i kości, zabija moralnie, innym razem pozostawia tylko bólo jakiś koło serca, ból, połączone z nudnością i smętną, nieokreśloną tęsknicą...

Syna biednego urzędnika celnego, Marcina, ukąsił pies sąsiada. Prawdopodobnie wściekły. Rodzice początkowo zrozpaczeni, potem budzi się w nich myśl o odszkodowaniu. Wszak za to ukąszenie sąsiad będzie musiał zapłacić. W razie śmierci chłopca suma wyniesie 10,000 franków.

Otaczają więc dziecko opieką, kupują mu zabawki, przynoszą cukierki. Konwulsye jeszcze się nie ukazały, ale chłopak w oczach prawie więdnie. Nie rusza się, siedzi wciąż przy ogniu. Rodzice otulają go, pieszczą, na twarzy ich maluje się smutek, lecz w oczach świeci skryta radość. Czują, chociaż wstydzą się tego i nie wyznają sobie, że śmierć chłopca jest dla nich pożądaną. Wybawiłaby ich z nędzy, w którą wgniotło ich życie...

Pewnego dnia chłopak mdleje, usta pienią się. Paroksyzm... Marcin biegnie czemprędzej po lekarza: potrzeba go do poświadczenia w procesie o odszkodowanie; lekarz przybywa: — „Od ilu dni dziecko chore?“ „Od sześćdziesięciu.“ — „Ach, bądźcie spokojni, po tak wielkim przeciągu czasu wścieklizna się nie objawia. To tylko anemia...“

Ojciec oburzony. Tak długo czekał, tyle wydał na zabawki, a teraz dziecko nie umrze... Więc z całej siły kopie nogą w krzesło i zrzuca z niem na ziemię dziecko, poduszki i kołderkę.

„Cave Canem“ (Baczność przed psem). Robotnik Piotr nocą podąża do miasteczka szukać pracy. Nadjeżdża próżny wóz, furman prosi go, aby wsiadł. Po drodze opowiada, że wiezie kilka tysięcy franków dla swego pryncypała, rozwodzi się nad jego „sprytem.“ „Złodziej“! — mówi robotnik. „Co? złodziej? Złodziej tylko ten, kto ręką bierze, głową wszyscy kręcić muszą...“

Milknie w końcu i zasypia. Tymczasem w duszy Piotra poczynają się lęgnąć ponure myśli. Złodziej, złodziej tylko ten, kto ręką bierze, nikt inny. Nikt z tych, co krzywdzą, z tych, co wyzyskują. Tylko głodni są złodziejami.

Dreszcz jakiś przebiega go całego. Coś uderza w serce, coś szepcze w głowie. „Zabierz woźnicy worek z tysiącami.“ Piotr walczy z sobą, ręce wzdrygają się, z czoła pot ciecze.

Dotyka worka, woźnica się budzi. Dzikie instynkty pochwytują obydwóch. Wszczyna się walka, koń pędzi. Droga zasłana śniegiem, z za chmur wynurzył się księżyc. Na śnieg coś ścieka... czerwona krew woźnicy.

Smutkiem przesiąknięte „Ruiny,“ „Na pensyę,“ „Melia.“ Z ruin, w których się zagnieździła, wypędzają mularze żebraczkę, bo na miejscu zwalisk mają wznieść nowy pałac. Obraz podobny nieco do „Julianki“ Orzeszkowej. Pułkownik występuje ze służby, doznawszy zawodów, przebywszy drogę cierni. W duszy huczy burza cierpień, w sali gra muzyka pożegnalnej jego uczty. Robotnica, której ślub jutro, opuszcza rodziców i przyszłego męża i w świat idzie, wstrząśnięta rozmową o wdowie, która w rozpaczy zabiła pięcioro swoich z głodu ginących dzieci. Nie chce, aby i jej los nóż wcisnął do dłoni...

„Pogrzeb“ roztacza prześliczny obraz śmierci młodego żołnierza, „Marsa“ kreśli nienawiść rasową francuzów do cyganów, depczącą szlachetniejsze uczucia, zatruwającą nawet młode, dziecięce dusze.

Autor zgłębia tajniki psychologii, rozwija poglądy filozofa. Mało spotyka się rzeczy bardziej społecznych i silnych, jak „Nad wodą,“ myśli o człowieku, który stojąc na moście Sekwany, wyczekuje chwili stosownej do rzucenia się w tonie lub „Szalony taniec“ (Chahut), opis baletu, przedstawiającego stopniowy upadek kobiety. Dusze czyste jak zdrój górski, indywidua przesiąknięte zgnilizną moralną, odcienie leżące między jednemi i drugiemi znajdują w Reibrachu tłomacza równie mistrzowskiego. I zwierząt życie nie zostało wyłączone z nowel młodego pisarza: w „Siwej,“ w „W klatkach,“ w „Zgubionym psie“ i „Lwie“ bohaterami są zwierzęta, a struna poruszona w ich opowieściach drga tem samem uczuciem, którem autor poprzednio potrącił życie istot ludzkich. Zdaje się przy ich czytaniu, że mamy tu francuskiego Dygasińskiego.

Pod względem technicznym nowele Reibracha odróżniają się znacznie od innych. Są mocno zbliżone do obrazków, rzadko tylko wynurza się wśród nich właściwa nowela: opowiadanie przestronniejsze, szerzej rozwinięte. Postacie „Brutalnego życia“ prawie zawsze rzucone są na tło krajobrazu, na kobiercze jakiegoś opisu. Często akcya pośrednio tylko rozwija się na tem tle, mimo to autor, jakby chcąc zespolić duszę człowieka z duszą wszechświata, opracowywa je starannie, wypełnia z całą skrzętnością. Tu i ówdzie dołącza jeszcze rozbiór duszy bohatera. Niekiedy zaś jakby rzeka występująca z brzegów, obraz wypełnia się i wzbiera, przebija tamy i zalewa akcyę tak szeroką falą, że tylko wierzchołki jej drzew najwyższych sterczą po nad wodą, jak wachlarze.

Lecz koloryt tych obrazów nie mieni się tęczowemi barwami, nie błyszczy złotą łuską. Słońce pada na nie ukośnie, jakaś mgła ściele się na ich powłoce. Najczęściej są to obrazy jesienne, wieczorne, nocne. Czuć w nich coś żałosnego, jak kwilenie ptaka. Przenika je socyologiczny pesymizm, społeczny determinizm autora, żal do życia brutalizującego wszystko, do życia będącego synonimem układu społecznego.

W. Bugiel.

LITERATURA POLSKA.

Ignacy Dąbrowski. *Śmierć*. — Studyum.

Rzadki widok. Na widnokręgu naszej literatury rozbłysła nagle nowa gwiazda. Nieznany całkiem autor i jego dzieło stały się przedmiotem roztrząsań i uwagi, wywołał on rozgwar sądów, obudził i nadał pęd zdwojony uczuciom. Byle kto tego nie dokaże. P. Ig. Dąbrowski posiada talent niepospolity. Jego „Śmierć“, to utwór artyzmu niekłamanego i wartości znacznej. Co prawda, odczuwa się pióro młodzieńcze, ale tkwi w niem dusza biegłego znawcy mechanizmu psychicznego; w odtwarzaniu głębokich i falujących, przejawów skołatanej i zmiennej duchowości suchotnika czujemy rękę artysty. Cały utwór przesiąkły jest sybjektywizmem, treść jego i zakres poruszanych zagadnień spojone są organicznie z najmłodszem pokoleniem doby bieżącej. Z tego względu, nie można rokować mu szerokiego uznania, nie może on być powiernikiem dumań ogółu, który mało znajdzie w niem odblysku własnych wątpień i dociekań. Człowiekowi młodemu trudno oderwać się od widnokręgu własnej myśli, przerwać oponę snujących się bezustannie i gwarliwie uczuć i zachceń, wznieść się do sfery beznamiętnego spoglądania na kłębiące się dołem mrowisko ludzkie, z jego pragnień i zabiegów wić wieńce artyzmu przedmiotowego. To może tłomaczyć już, choćby połowicznie, podmiotowe stanowisko autora. O śmierci, o całym tym splocie licznych objawów duchowych, myśl artystyczna wiele i obszernie pisała. Czytelnikom naszym możemy przypomnieć przyswojone naszej literaturze: „Jak umierają we Francyi“, Emila Zoli i „Śmierć Iwana Iljicza“ L. Tołstoja. Praca p. D. nie wiele traci na porównaniu i nie jest natrętnym intruzem śród tego dostojnego pocztu. Bez wątpienia, trudniej przeniknąć w głąb codziennych i przeciętnych natur, wykryć bieg ich wyobrażeń i motanie się pasma ich uczuć, jeszcze trudniej zobrazować w nich przejawy gwałtownych, wykazać, jak błyskawice owych uczuć silnych padają na zgiełkliwe rojowisko dążeń powszednich, wprowadzając tam zamęt i natężenie niezwykłe. Lecz każdego autora sądzić należy w ramach jego dzieła. Subjektywizm p. Dąbrowskiego wypływa nietylko z wymienionego źródła, promienieje on nie tylko z ogniska osobistego, lecz także ze społecznego. Świadczy on o narodzeniu się, a raczej spotęgowaniu się i wyodrębnieniu młodej inteligencyi, wyłamanej z pod przy-

należności do dawnych typów, wysubtelnionej, pogłębionej uczuciowo i myślowo, lecz tworzącej zarazem zastęp schyłkowców okresu spółczesnej cywilizacyi, owiany prądami dekadentyzmu. Odłam ten obecnie już jest dosyć liczny; nadczułość psychiczna, przeczulenie, stanowi jego znamię naczelne. Żywi on pragnienia szlachetne, zapala się do wielkich haseł, chce zgłębić, o ile można, największą ilość zagadnień, ma jakiś eklektyczny popęd do zbratania się z różnorodnemi dążeniami, odczuwa jednak i pojmuje, chociaż nie zbyt samowiednie, całą wagę spółczesnej chwili przełomowej, stara się nawet wmówić w siebie potrzebę jakichś dogmatów społecznych. Tak, dogmatów, trudno albowiem zdobyć się mu na wszechstronny i metodyczny krytycyzm względem zjawisk kalejdoskopowo zmiennych, częstokroć nieuchwytnych. Probierzami mniemań i zapatrywań najczęściej bywają tu motywy uczuciowe, dążenia mgliste, wybujałe na tle niezrównoważonego temperamentu. Kategorya tych ludzi dostarcza licznych czcicieli i wyznawców, świadomych, czy też mimowiednych, kultu arystokracyi ducha, dyletantyzmu, renanizmu, wygórowanego indywidualizmu. Młodość ich nie zawsze jest „górna a chmurna", występują w niej także przejawy szamotań się bezowocnych, bezcelowe grzebanie się w wiązance własnych uczuć i wyobrażeń, zamykanie się w ciasnej klatce, co prawda, artystycznie wyrobionej, dumań osobistych.

Taki jest rodowód społeczny „Śmierci." Uwagi poprzednie pozwolą zrozumieć wpływ Sienkiewicza, szczególniej „Bez dogmatu," na p. Dąbrowskiego. Bohater jego opowieści także jest „bez dogmatu," Płoszowski tylko—to odrośl zgniłego pnia arystokratycznego, Rudnicki zaś wyrósł na podściełisku ruchliwem i wciąż falowanem różnorodnymi prądami naszej inteligencyi. Posiada on też wszystkie znamiona klasy, najbardziej odczuwającej cały bezrząd społecznego życia, wystawionej na ciągłe wahania, mającej największą stosunkowo potrzebę uświadomienia sobie zjawisk, a odznaczającej się najwyższą pobudliwością psychiczną. Płoszowski z jakąś starczą niemocą powtarza, że nic nie wiemy, że nauka — to łańcuch nierozwiązalnych zagadek, Rudnicki zaś, a wraz z nim cały ten odłam, którego jest on przedstawicielem, z jakąś porywczością snuje wiązankę pytajników, gromadząc je bezładnie i nie odczuwając należycie, iż musi być pomiędzy nimi ustanowiona jakaś hierarchia rozwiązalności.

Niezawodnie, bardzo jest ciekawy nastrój suchotnika, dogorywającego i pojmującego swój stan i jego konieczny rezultat—śmierć. Umysł wówczas wykoleja się ze zwykłych dróg, musowa bezczynność podwaja wrażliwość, co pociąga za sobą odkrycie wielu stron duszy, nieistniejących dotąd, a może raczej przytłumionych. Bardzo trafnie autor zeznacza, że każdy kładzie w myśli o śmierci cały zasób swej wiedzy i pojęć, że śmierci jest tyle, ile jest pojęć o niej. Jest ona straszna, albowiem nagle i niespodziewanie wytrąca nas z rzeszy żyjących, brutalnie przecina węzeł, łączący nas ze światem ludzkich dążeń i uczuć, gwałtownie niweczy przypuszczalną możliwość szczęścia. Powołuje do nicości, kiedy my tyle jeszcze mamy do zdziałania, takie szerokie zakreśliliśmy plany, które muszą pozostać niewykonalnymi, nie zdążyliśmy zrobić rachunku życiowego, kiedy nas ślepy przypadek, który bywa przejawem jakiegoś prawa natury, bezlitośnie strąca do otchłani niebytu. Z dużem odczuciem kreśli autor przedzgonne dumania swego bohatera, przed którym rozpościera się jakaś szara zasłona, który nie wie, co za nią jest i czy jest. „A ja mam tam wejść może za dni kilka z tą jedyną pewnością, że powrotu niema." W takim stanie człowiek targa się i szarpie, nic jednak uczynić nie zdoła, choć wszystko widzi. Wtedy zmieniają się dwa nastroje: chęć gwałtownego, najbardziej natężonego zużytkowania resztek życia oraz pragnienie wyrzeczenia się świata i zapomnienia o nim jak najprędzej. Cały ten proces zamierania występuje w nader smutnym orszaku. Myśl zawszasu otacza się ciszą i nicością grobu.

Bohater „Śmierci" znajduje się w bardzo sprzyjających warunkach dla odczucia i odtworzenia tego procesu. Śmiało może wyrzec o sobie: „Idę krok w krok za moją chorobą, pilnuję ją, szpieguję, krytykuję, starając się odgadnąć, co mię czeka jutro, pojutrze, aż do ostatka." Niemoc ciała niezmiernie zaostrza w niem wrażliwość nerwow i wysubtelnia umysł. P. Dąbrowski uczynił go studentem, wyprowadził z rodziny suchotników i szczodrze obdarzył bogatym zasobem artyzmu. Rudnicki nie posiada stałych, ugruntowanych przekonań.

Jest to chodząca tymczasowość. Określa siebie, jako znajdującego się w okresie przetwarzania. Na nieszczęście jest to jego stan przewlekły. Nie potrafi pozostać długo w żadnej „klatce przekonań," co najwyżej może rozprzestrzeniać tylko swoje stanowisko obserwacyjne. Słowem, to dekadent jeszcze najlepszego gatunku. Śmiało możemy przewidywać, że z najmłodszego pokładu literackiego wytryśnie u nas niebawem cały zdrój produkcyj dekadenckich, tylko nie o tak napiętych strunach, lecz minorowych lub kwilących, przesiąkłych egotyzmem.

(D. n.).

Br. Chrz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Niwa.

Z ostatnim dniem ubiegłego roku „szesnastoletnia *Niwa*" zakończyła swój żywot i ma się przedzierzgnąć w nową, dotychczas jeszcze nieokreśloną postać. Jak wiadomo, pismo to narodziło się przed 20 laty oblaskawionym, „umiarkowanie postępowym" wilkiem, a przed 16 laty stało się szlachecko-konserwatywną owcą, żywioną nie obrokiem abonentów, ale zasiłkiem, dostarczanym jej przez grono „opiekunów" z warstwy ziemiańskiej. Jej redaktorom i współpracownikom przeciwnicy przypięli za to łaty: najmitów, lokajów itd. Zarówno redaktor *Niwy* p. Rembowski, jak jej kronikarz p. Donimirski bronią w swych mowach nadgrobnych czystości tego stosunku. „Jest to zwyczajem, przyjętym w całym świecie cywilizowanym — powiada ostatni — że pisma, broszury, książki wydawane są przez pewne grupy ludzi — dla służenia pewnej idei." Niewątpliwie tak jest i ze stanowiska dzisiejszej etyki nic podobnym przedsięwzięciom zarzucić nie można. Jeśli *A* może wynająć sobie redaktora dla prowadzenia pisma peryodycznego i w razie niedoboru pokrywać straty z własnej kieszeni, to nie pojmujemy, czemu nie mogliby robić tego samego *A*, *B*, *C*, *D* itd. Tam jednostka, tu kilka jednostek — oto cała różnica. Inna sprawa z ową „ideą." Nie przeczymy, że w jej rdzeniu może tkwić interes, kiedy wydawnictwo należy do jednej osoby; ale niech w nas nikt nie wmawia, że tego interesu wcale nie ma, gdy ono należy do grupy. A przedewszystkiem niech takiej naiwnej wiary nie wymaga od nas p. Rembowski. Opowiada on, że *Niwa* „poświęcając uwagę obowiązkom i interesom klas rolnych wogóle, nie lekceważyła, ani zaniedbywała innych warstw społecznych," że nie oszczędzała „możnym ani jednej z gorzkich prawd," że „uznawała i szanowała zdobycze rzetelne, jakie stronnictwa liberalne i postępowe w dziedzinie nauki i prawodawstwa (po za temi dziedzinami one nic działają!) poczynić zdołały," że „ceniła swobodę sumienia", że znała „tylko jeden interes publiczny" itd. Otóż wszystko to — mówiąc słowami p. R. — jest „pustą frazeologią" i rzetelną nieprawdą. *Niwa* rzeczywiście nie służyła interesom swoich „opiekunów" bezpośrednio, ale pośrednio, to znaczy była organem interesów klasowych — ziemiańskich. Niech się tego nie wstydzi, bo w społeczeństwie klasowem wstydzić się tego niepotrzeba. P. Rembowski postąpiłby daleko właściwiej a nawet nadał swemu dwutygodnikowi zrozumialsze racye bytu, gdyby, zamiast prawić o dobru ogólnem, przyznał był szczerze, iż *Niwie* chodziło o dobro stanu szlachecko-ziemiańskiego. A nawet rozpocząwszy opowiadać jej dzieje, miał tę myśl. Wspomniawszy, jak to w r. 1876 stan ten „znajdował się w nieszczególnem położeniu ekonomicznem," dodaje: „Wyrwać większość ziemian z ogarniającej ich coraz to silniej apatyi i zniechęcenia, jakie widmo *majątkowej ruiny* wywoływało, wskazać drogę do ratunku swego *mienia* — to były pierwsze zadania, które inteligentnych a w pracy publicznej (? czytaj: gospodarczej) doświadczonych i zasłużonych ziemian, skłoniły do wyszukania odpowiedniego organu prasy, który by zaspakajał ich *pragnienia* przyoblekał w *naukowe* (!) i praktyczne kształty." To jest szczere i prawdziwe, ale nie gadanina o miłowaniu „innych warstw," o leżeniu „na sercu *Niwy* rozwoju ekonomicznego miast" itp. czcze przechwałki. Kiedyś zamieściła ona artykuł p. t. „nieobecni," w którym czyniła wymówki arystokracyi za jej odsuwanie się od prac i stanowisk społecznych. To wezwanie, tę serdeczną skargę, tę modlitwę do panów, ażeby raczyli przyjąć udział w życiu miejscowem p. R. nazywa „nieoszczędzaniem możnym ani jednej z gorzkich prawd." Dziwne pojęcie „goryczy."

Objaw to szczególny i wysoce charakterystyczny, że nasi konserwatyści nie śmią nigdy nazwać się wyraźnie i bez zastrzeżeń konserwatystami, ale zawsze tatuują się znakami liberalizmu. Żaden z nich nie powie: jestem zachowawcą, lecz zawsze doda: i dzierżawcą prawdziwego postępu, producentem jedynie *zdrowych* zasad liberalnych Tak postępuje i p. R., który przytem z torysowskiego cygara puszcza dym w nos „pseudo-postępowcom" i „pseudo-liberałom." To „pseudo" jest oryginalnym wytworem żargonu publicystyki warszawskiej; ale o ile ten wyrazik nie dziwi nas pod piórem rozmaitej gawiedzi dziennikarskiej, o tyle poprostu zdumiewa pod piórem poważnego pisarza. P. R. jako historyk powinien wiedzieć, jak często owe „pseuda," wydrwiwane przez współczesnych, potem w bezstronnem oświetleniu badaczów nabierały znaczenia pierwszorzędnych czynników. Po co więc łączy się z chórem, gwiżdżącym na kluczach w kociej muzyce, kiedy przystałoby mu tylko być rozumnym i trzeźwym obserwatorem lub krytykiem ruchu społeczno-umysłowego swojej epoki? Rembowski z 1892 r. lekceważy „pseudo-liberałów" i „pseudo-postępowców" a Rembowski z 1993 r. będzie ich pisma starannie w bibliotece Krasińskich chował, czytał i do monografii historycznych naszego czasu zużytkowywał. O tem nie wie lub nie pamięta zwyczajny szeregowiec dziennikarski, ale wiedzieć i pamiętać powinien badacz.

Pomimo że *Niwa* objęła swą miłością i staraniem wszystkie warstwy społeczeństwa, a nie jeden jego stan, pomimo że uważała się za przedstawicielkę jego większości, nie zdołała się utrzymać i nawet przy zasiłku „opiekunów" upadła. Dlaczego? P. R. przypisuje ten „smutny objaw własnej nieudolności a nie zobojętnieniu

dla zasad przez *Niwę* wyznawanych.“ Jest to objaśnienie rycerskie, ale znowu w części nieprawdziwe. *Niwa* nie wytworzyła sobie szerszego koła abonentów dlatego, że musiała ich dzielić z mnóstwem pism szlachecko-konserwatywnych, które biegły z nią w kierunku tychże samych interesów, a prześcigały ją w tej gonitwie. Kiedy ona rozprawiała szeroko o Parnelu, Krzysztofie Arciszewskim lub elekcyi Władysława IV, jej czytelnicy zagrożeni „widmem ruiny majątkowej“ żądali jak najwięcej rad o „ratowaniu mienia.“ a nie znajdując ich w dostatecznej ilości, uciekali do: *Słowa*, *Gazety warszawskiej*, *Wieku*, *Gazety rolniczej*, *Rolnika i Hodowcy* itd. Oto prosta i jasna tajemnica jej zgonu, niepotrzebnie zasłonięta przez p. Rembowskiego pajęczyną czczej deklamacyi o cnotach nieboszczki. *O.*

Jordan.

Autor „Wędrówek delegata,“ „Przygód panów Marka i Agapita,“ „Słomianego człowieka“ i innych utworów, przedstawiających postacie i stosunki ziemiańskie w świetle dobrodusznego humoru i lekkiej ironii, wiele zyskał na tem, że swoją twarz zasłonił szczelnie przyłbicą pseudonimu. Naprzód bowiem uniknął osobistych niechęci, powtóre wziął „na muchę“ szlachecką wszystkich towarzyszów pióra, którzy pod tą przyłbicą domyślali się ogorzałego oblicza, sumiastych wąsów, słowem prawowitego sodalisa. Dziś, kiedy ustalił swoją sławę i otrzymał pewną markę, zdjął zasłonę i kłaniając się z uśmiechem, rzekł: Jordan — to ja, Julian Wieniawski. Teraz już za późno cofać zachwyty i dowodzenia, że nieznany autor musi być krwią z krwi i kością z kości ziemiańskiej, za późno wykazywać, że w jego utworach czuć inną rasę i inną sferę, trzeba pozostawić wyrok takim, jaki w nieświadomości dawniej wydano. A przynajmniej raz jeden — może jedyny — wydano bezstronny, bo p. Wieniawski rzeczywiście przejął się życiem, nawet instynktami i słabostkami świata, który malował. Jeżeli był szlachcicem podrobionym, to podrobionym tak doskonale, że niepodobna go odróżnić od prawdziwego. Nie jest to talent wysokiej miary, ale bardzo sympatyczny gawędziarz z humorem szczerym i pogodnym.

Na poranku kasy pożyczkowej teatrów warszawskich odegrano nowy jego obrazek „Wśród lasu“ — nikły treścią a wdzięczny formą i odbijający główne rysy talentu autora.

Dom podrzutków.

Myśl rozwinięcia obecnego zakładu dla podrzutków i wogóle przekształcenia systemu tej opieki publicznej pokutuje w wielu głowach i pismach oddawna. Pomijając szczegóły, potrzeba społeczna wskazuje dwa punkty główne: 1) rozszerzenie obecnego przytułku w Warszawie lub też otworzenie podobnych na prowincyi i 2) oddzielenie go od szpitala Dzieciątka Jezus. Oba te przedsięwzięcia, chociaż wymagają znacznych ofiar, nie leżą po za granicami możliwości. Jesteśmy bowiem pewni, że gdyby pierwsza z nich została podjęta, społeczeństwo złożyłoby hojne ofiary na tym ołtarzu miłosierdzia, a umierający przyjaciele nieszczęśliwych dzieci obdarzaliby je zapisami. Co do drugiej sprawy, podnosi ją *Kuryer codzienny*, dowodząc bardzo słusznie, że wobec trudności zakończenia układu ze spółką francuską, pragnącą nabyć place Dzieciątka Jezus, możnaby je uprzątnąć częściowo i tylko przytułek przenieść po za miasto, pozostawiając do jakiegoś czasu szpital w dotychczasowej siedzibie. Bądź co bądź, zdaniem naszem, należałoby raz rozdzielić te dwie instytucye i uznać je za całkiem samodzielne, gdyż rzeczywiście posiadają one odrębne przeznaczenie i na połączeniu bynajmniej nic zyskują, zwłaszcza zaś gniazdo podrzutków, sąsiadujące z gniazdem chorób. *M.*

Żebractwo uliczne.

Chociaż żebractwo uliczne w mniej lub więcej jaskrawych formach trapi najbogatsze i najbardziej ucywilizowane narody, jest wszędzie i zawsze objawem choroby społecznej. Nie mówiąc już o takich olbrzymich wystawach kalectw i łachmanów, o takich chórach próśb i jęków, jakie np. spotykamy podczas Zaduszek wokoło Powązek, nawet odosobnieni żebracy, czatujący na przechodnia w pewnych punktach ulic, daleko przed nim i za nim rzucający swoje błagania i obnażający swoje okropne nieraz tytuły do miłosierdzia, przedstawiają widok straszny i w wysokim stopniu dręczący. Ludzie ci powinni znaleźć przytułek w odpowiednich instytucyach, które nietylko dałyby opiekę nędzy prawdziwej, ale nadto zapobiegły udanej. Jest to bowiem wielokrotnie stwierdzonym faktem, że w tej masie żebraków grasuje dość znaczny procent obłudników i spekulantów, często posiadających majątki lub poprostu oszustów i złodziejów. To też z zadowoleniem dowiadujemy się, że władze administrazyjne postanowiły zająć się tą sprawą i zużytkować schronisko dla kalek w Kalwaryi, dotychczas nierozporządzające dostatecznymi funduszami, dla których ma być znalezione źródło.

Dom własny.

Towarzystwo opieki nad biednemi matkami, które w krótkim czasie zyskało zasłużoną sympatyę i stosunkowo znaczne środki, nabyło dla siebie własny dom przy ulicy Hożej. Budynek to niewielki, ale rozkładny, położony w dość obszernym dziedzińcu, posiada doskonałe warunki hygieniczne. Ten przytułek położniczy odróżnił się od wszystkich innych daleko wyższą skalą wygód, dosięgającą nieraz aż do zbytku, tak, że nietylko kobiety ubogie, ale nawet średnio zamożne mogłyby w nim odbywać porody. Jeżeli zaś tak było w lokalu najętym, jeszcze lepiej będzie we własnym, gdzie zostaną zaprowadzone najrozmaitsze urządzenia, potrzebne w domach położniczych wyższego rzędu. Jest pewna słuszność w twierdzeniu, że Towarzystwo powinnoby nieco obniżyć stopę wygód, a natomiast podwyższyć ilość łóżek, ale naprzód na t. zw. zbytek przytułku składają się dobrowolne ofiary z przedmiotów mu nadsyłanych, a powtóre... nie zazdrośćmy biedaczkom kilkunastu dni życia w czystości i dostatku. *M.*

Kolej Wilanowska.

Sądząc z doniesień *Kuryerów*. możnaby przypuszczać, że Towarzystwo wilanowskiej kolei konnej toczy się gładko po torze swego rozwoju. Tymczasem od kilku miesięcy w łonie spółki wybuchają ciągle gwałtowne i nieraz gorszące walki między jej komendataryuszami, a koniec i wynik sporu nie dadzą się jeszcze obliczyć. Przedmiotem ostrej krytyki i wyrzutów na ostatnich zebraniach uczestników stał się głównie p. Magnus, atakowany przez p. Hussa. Nie wchodząc w treść zatargu, powikłanego wzajemnemi pretensyami, nadmienimy tylko, że Towarzystwo w obecnej organizacyi utrzymać się nie może i musi zmienić swą podstawę prawną — kontrakt, napisany nieostrożnie, nieprzezornie, poprostu — niedołężnie. Jest ono dla nas jednym więcej dowodem, jak dalece my jesteśmy niezdolni do działania i pracy w stowarzyszeniach. A szkoda, bo kolej wilanowska jest interesem dobrym i dla użytku publicznego ważnym.

„Sklepowe.“

„Grono pań“ zawsze jest skore do urządzania wszelkich zabaw, do ocierania ich okruchami łez nędzarzom, niewyczerpane w pomysłach, gdy chodzi o przyciągającą nazwę balu o niespodzianki w widowiskach. Nigdy atoli nie słyszeliśmy, ażeby to „grono“ pracowało nad czemś, coby nie miało związku z jałmużną i zabawą. Teraz właśnie mamy do zaznaczenia taki fakt niezwykły. Według doniesień *Gazety Polskiej* „panie“ zaprojektowały utworzenie stowarzyszenia, do którego przyjmowane będą wszystkie bez wyjątku kobiety, pracujące jako sklepowe, buchhalterki, korespondentki itd., z wyłączeniem pracownic fabrycznych. Nie wiemy, czy tym razem owe „grono pań“ składa się z interesowanych, czy też z chętnych tylko do niesienia im pomocy. W każdym bądź razie myśl bardzo chwalebna, a urzeczywistnienie jej — pożądane. Chociaż projekt nie określa jasno zadań stowarzyszenia, łatwo jednak się domyśleć, że tu chodzi o kasę mającą wzmocnić ślizki i niepewny grunt pracownic. Ale w jaki sposób? Czy z 10, 15 i 20 rublowych pensyi będą one odkładać oszczędności, ażeby po utracie zdrowia i sił na usługach sklepu, dostać kilkorublową zapomogę? Nie rozumiemy zastrzeżenia, wyłączającego pracownice fabryczne. Wszakże do fabryk zaliczone są zakłady kapelusznicze, pończosznicze i inne, połączone ze sklepami. Od rozszerzenia koła stowarzyszonych zależy rozrost kasy, a zatem jej pożytek, nie ograniczający się na zapomogach kilkorublowych. Wszelkie sklepowe rzadko są pewne, że dziś przyjęte, nie będą jutro pozbawione pracy, lub że 20 rs. pensyi za kilka tygodni nie spadnie do 10, a nawet 5-ciu, skoro sezon ożywiony przejdzie. Otóż wobec tego warto, iżby organizatorki przyszłej kasy postarały się o szerszy jej program w granicach przez wyższą władzę dozwolonych. Mianowicie niech pracownicom pozbawionym chwilowo zajęcia, wolno będzie czerpać zapomogę, o ile to jest możliwe, aż do zdobycia nowych zarobków. Tym sposobem wiele z nich mogłoby uniknąć smutnej ostateczności sprzedawania się tym, którzy są hojni i rozrzutni, gdy chodzi o kupno wdzięków świeżych. *Dr.*

Wykłady hygieny.

Z powodu uporczywego trwania cholery w Warszawie, jedna z fabryk na Powiślu postanowiła przerwane wykłady hygieny dla robotników prowadzić dalej w soboty na godzinę przed wypłatą zarobków. Myśl zarazem dowcipna i pożyteczna. Do wypłaty muszą stanąć wszyscy, a więc tem samem i wykłady będą miały zapewnionych słuchaczów w komplecie. Zakład, tak szczerze dbający o zdrowie swych pracowników, powinien jeszcze w tym względzie zrobić jedno ustępstwo. Przed lekcyą hygieny kończyć robotę wcześniej niż zwykle, ażeby słuchacze niezbyt wyczerpani fizycznie, mogli łatwiej skupić uwagę i zatrzymać w pamięci wskazówki przez lekarza zalecane. Warto, ażeby za przykładem fabryki z Powiśla poszły inne. Rzeczą już prelegentów będzie rozwiązanie zadania, jakie wskazówki zalecać tym słuchaczom, których warunki pracy nie są zgodne z najelementarniejszemi zasadami hygieny? *..r.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Z Towarzystwa przemysłu i handlu. Przed kilku dniami odbyły się narady członków sekcyi rzemieślniczej (pod przewodnictwem p. Aleksandra Makowieckiego) w sprawie kredytu drobnego. Jeszcze na poprzedniem zebraniu dla opracowania projektu odpowiedniego stworzono delegacyę, która wysnuła następujący szereg wniosków w tej mierze: W kantorze Banku państwa i jego filiach pożądane byłoby oprócz skupu weksli: pożyczki drobnym przemysłowcom

i rzemieślnikom za kilku podpisami; kredyt do 3,000 rs.; pożyczki wekslowe do 50% kredytu; dyskonto weksli od rs. 30. Udzielanie pożyczek z terminem przynajmniej dziesięciomiesięcznym (skup weksli i wydawanie pożyczek odbywać się powinno codziennie). Do korzystania z kredytu rzemieślnicy i drobni przemysłowcy nie będą potrzebowali wykupywać świadectw handlowych; dostateczne będą dla nich przemysłowe. Filie Banku państwa powinny być otwierane we wszystkich miastach prowincyonalnych z ludnością dziesięciotysięczną. Pożądane jest również, ażeby kantor Banku państwa tudzież filie przykładały się do rozwoju stowarzyszeń spożywczych, spółdzielczych, kas wkładowo-zaliczkowych, przemysłowych i gminnych, przez przyjmowanie ich weksli do dyskonta. Referat ten, przyjęty jednomyślnie przez sekcyę, przesłany będzie do Petersburga jako żądanie grupy rzemieślników i drobnych przemysłowców, które wcielone zapewne będzie do innych danych, wpływających na reformę działalności banku.

Giełda zbożowa. Wytwórcy i handlarze zboża w Królestwie Polskiem myślą na seryo o utworzeniu giełdy zbożowej na wzór istniejących za granicą. O ile nam się zdaje, duszą całej tej sprawy jest p. Bronisław Werner, wytrawny znawca przedmiotu. Dotąd wszakże same tylko narady w tej mierze nie dają jasnych wskazówek, jak prędko organizacya pożądana przyjdzie do skutku. Na ostatniem posiedzeniu roztrząsano sprawę domieszek i zanieczyszczeń w zbożu, przeznaczonem na wywóz. Przedmiot to bardzo ważny, gdyż podniesienie i utrwalenie wartości produktu powinno być pierwszorzędnym warunkiem w zogniskowaniu handlu.

Dostawy dla wojska. Ministeryum dóbr państwa gromadzi obecnie materyały dla wyjaśnienia przyczyn niepowodzenia bezpośrednich dostaw prowiantu dla wojska przez właścicieli ziemskich. Okazało się, iż oprócz ziemian mińskich i petersburskich dokładnie wypełnili swe zobowiązania właściciele ziemscy z gub. smoleńskiej, z którymi zawarł układy okrąg wojskowy warszawski. „Fakty te — piszą *Pet. Wied.* — są tem dziwniejsze, że w strefie północno-zachodniej produkcya żyta jest droższa, niż w innych prowincyach państwa. Z tego też powodu trudne do wyjaśnienia niepowodzenie na południu, nawet w czasie znacznego spadku cen zboża, interesuje bardzo ministeryum dóbr państwa." Bądź co bądź, bardzo ciekawe będą dane, wyjaśniające istotny stan rzeczy.

Elewatory. Zanim przyjdzie do skutku projektowana oddawna budowa elewatora przez zarząd kolei Nadwiślańskiej, rozwiną swoją działalność w tym zakresie drogi Południowo-Zachodnie. Ponieważ jedna z ich rozgałęzień przerzyna Królestwo Polskie w kierunku zachodnio-północnym, więc rozwinięcie tu owego przedsiębiorstwa będzie tylko dopełnieniem działalności w gub. kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, prowincyach najbardziej zbożodajnych. Jeden z elewatorów stanie przy krańcowej stacyi — Grajewie, w punkcie zatem bardzo dogodnym dla wywozu zewnętrznego. Dotychczas rolę tak ważną w wywozie odgrywała Odesa, druga krańcowa stacya dróg rzeczonych. W ostatnich jednak latach dopływ zboża do portu południowego stale się zmniejsza, natomiast wzrasta w kierunku Grajewa do Prus. Całkiem więc uzasadnione jest tworzenie w tem miejscu wielkiego zbiornika dla ziarna, przeznaczonego na wywóz drogą lądową. Frachtowanie ładunków ze stacyi położonych poniżej Kowla, odbywało się dotąd bezpośrednio, w miarę zażądania agentury zbożowej kolei Południowo-Zachodnich w tem mieście. Ażeby jednak mogła ona swobodnie rozporządzać wiekszym zapasem zboża, trafnie wybrano Grajewo dla elewatora przy stacyi przeładunkowej na tory pruskie. Jest to fakt doniosły dla ziemian Królestwa Polskiego, szczególnie w północnej części gub. łomżyńskiej i południowej suwalskiej. Właściciele ziemscy z paru powiatów gub. grodzieńskiej także będą mogli korzystać z elewatora grajewskiego.

Wystawa skór nie bardzo pomyślnie się zapowiada; do 4 b. m. zaledwie 36 osób przyrzekło swój udział. Wobec tego komitet postanowił termin otwarcia odroczyć do 1 lutego, przed tem zaś użyć wszelkich środków reklamowania.

— *Birż. Wied.* określają na 81 milionów nadzwyczajny kredyt w budżecie roku bież. Suma ta ma być przeważnie użyta na budowę kolei syberyjskiej. Wydatek pokryty będzie: przewyżką 17-u milionów ponad normę budżetu, 39 mil., które jako dług skarbowy, zwraca Bank państwa, 25 mil. pokryje pożyczka. Budżet r. z. zamknięty będzie niedoborem zwyczajnym 25 mil. i nadzwyczajnym 75 mil.

KRONIKA.

Przytułki dla rekonwalescentów. Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej poruszyła bardzo ważną sprawę — założenia przy wszystkich szpitalach przytułków dla rekonwalescentów, przynajmniej na sześć osób każdy. Zwykle znaczna liczba chorych, wypisanych, powraca znowu do szpitalów, gdyż co naprawiło leczenie, bardzo szybko zrujnowała potem nędza, brak pożywienia i dachu. Ilu rekonwalescentów umiera skutkiem walki z niemocą lub się poddaje nowym chorobom z wyczerpania fizycznego! Szpitale, jak wiadomo, bardzo chętnie pozbywają się *podleczonych*, gdyż zwykle dziesiątki nowych kandydatów czekają na jedno łóżko. W rezultacie zatem zasługa w naprawie zdrowia publicznego co najmniej o połowę jest mniejsza niż sobie wyobrażamy. Projektowane więc przytułki, zanim powstaną szpitale nowe lub się rozszerzą ściany dawnych, ocalą chociaż skromny procent „wypisywanych" na zagładę. Przytem rekonwalescent przechodzący wprost ze szpitala do przytułku, prędzej niż obecnie będzie mógł uwalniać swoje łóżko dla innego, często bowiem chory taki trzymany jest dłużej jedynie dla tego, iżby zetknięcie się ze zbyt ostrą temperaturą nie sprowadziło recydywy.

Koniec spekulacyi. Od lat wielu publiczność się użala na nadużycia kolektorów loteryi klasycznej i trudność dostania losów. W ostatnich czasach doszło do tego, że dla zdobycia ćwiartki trzeba było szukać nadzwyczajnej, silnej protekcyi. Jednocześnie namnożyło się sporo spekulantów, którzy sprzedawali losy po cenach podwójnych. Dopiero w klasie piątej, gdy główne wygrane już wyszły, a więc i gorączka u graczów minęła, kolektorowie, którzy byli przez pięć miesięcy niedostępni, wystawiali zwykle ogłoszenia, iż są losy do sprzedania. Obecnie, ku wygodzie ogółu i całości jego kieszeni, nadużycia te będą ukrócone dzięki następującemu rozporządzeniu warszawskiego kantoru Banku państwa.: W miarę wydawania losów do klasy pierwszej, czynione będą codziennie ogłoszenia z wykazem kantorów, które je otrzymały do sprzedania i z oznaczeniem ich ilości. Nadto, urząd loteryi prosi, aby publiczność grająca zechciała współdziałać w ukróceniu nadużyć: w razie odmówienia sprzedaży losu, należy o tem niezwłocznie zawiadomić urząd, który ze swej strony sprawdzi, czy odmowa była słuszna; w razie przeciwnym — kolektora pozbawi prawa otrzymywania losów.

Sprostowanie. Z przyjemnością dowiadujemy się, że rozpuszczona przez *Gazetę losowań* pogłoska i między innemi pismami przez nas powtórzona o zamiarze sprzedania koncesyi Towarzystwa kolei podjazdowych kapitalistom belgijskim — jest mylna. Założyciele rozporządzają już milionem rubli, złożonym z kapitałów miejscowych.

Sprawy społeczne. Do rady państwa wniesiono projekt przepisów, wzbraniających otwierania kas pożyczkowych w pobliżu znaczniejszych fabryk i zakładów przemysłowych i wprowadzających środki przeciw potajemnej lichwie w tych miejscowościach.

— *Wiadomości farmaceutyczne* donoszą, że wkrótce wprowadzoną będzie nowa taksa aptekarska, zniżająca dotychczasową cenę lekarstw blizko na 25%. Taksa obejmie około 3000 pozycyj, tj. nietylko środki, zamieszczone w farmakopei, lecz używane częściej.

— Zarządy niektórych większych fabryk, z powodu mrozów, ustępują swoim robotnikom węgiel po cenach zniżonych. Pomoc ta ma trwać do wiosny.

— W Lublinie od kilku miesięcy istnieje kuchnia tania, gdzie ubodzy dostają zupę z mięsem i chlebem za 3 kop., wyjątkowo zaś ubodzy — darmo.

Szkoły. Dla „wyższych kursów dla kobiet" przy Muzeum technicznem imienia Baranieckiego w Krakowie złożony został na ręce adwokata Abłamowicza znaczny fundusz, mający na przyszłość zabezpieczyć istnienie tych kursów.

— Katedrę mineralogii przy uniwersytecie Warszawskim powierzono p. Jerzemu Wolfowi, magistrowi mineralogii i geognozyi.

— Minister dóbr państwa wniósł projekt ustawy o urządzenie stacyj agronomicznych przy szkołach rolniczych i folwarkach doświadczalnych.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, że wykład gramatyki francuskiego i niemieckiego języka odbywa się w zasadzie w języku ruskim, nauczyciel jednak ma prawo stawiać pytania i żądać w pewnych razach odpowiedzi w języku obcym.

— Zapadła uchwała względem przeniesienia w przyszłym roku szkolnym gimnazyum realnego z Włocławka do Kalisza.

Sprawy kolejowe. W roku bieżącym kursować będą przy pociągach kuryerskich oddzielne wagony restauracyjne na kolejach: Mikołajewskiej, Warszawsko-Petersburskiej, Moskiewsko-Brzeskiej, Południowo-Zachodnich i Iwangrodzko-Dąbrowskiej.

— Na kolei Wiedeńskiej posadę naczelnika ruchu po p. Popielu objąć ma inżenier Daragan. Władza dyrektorska została podzieloną tak, że wydział techniczny i administracyjny zarządu prowadzi inżenier Rydzewski, wydziałem zaś buchalteryi i handlowym zarządza p. Strasburger. Innych zmian nie będzie.

— Zarząd kolei Terespolskiej przyjął w poczet pracowników biurowych pewną ilość kobiet. Liczba ich ma nie przekraczać 20% ogólnej sumy pracujących.

Zmarli. Albert Delpit, powieściopisarz i autor dramatyczny, w Paryżu. Ur. r. 1849 w Nowym Orleanie. Do wybitniejszych utworów jego należą: *Le fils de Coralie* i *Le Mariage d' Odette*. Sporo powieści tłomaczono na język polski.

— Marceli Boczkowski, b. artysta dramatyczny teatrów warszawskich.

Wystawy i zjazdy. W Hadze odbędzie się międzynarodowa wystawa pieczywa tudzież przedmiotów związanych z fachem piekarskim.

— W sierpniu r. b. odbędzie się zjazd hygienistów w Petersburgu.

— W b. m. odbędzie się zjazd inżenierów komunikacyi wodnej w Petersburgu, dla naradzenia się nad regulacyą ważniejszych stacyi spławnych.

Dobroczynność publiczna. We wsi Wola pod Warszawą powstał komitet dla niesienia pomocy materyalnej potrzebującym, składający się z miejscowych obywateli pod przewodnictwem naczelnika straży ziemskiej. Na pierwszem posiedzeniu, oprócz produktów w naturze, zebrano 250 rs., za które założono kuchnię tanią i herbaciarnię, otwierane już od 5-ej godz. rano i wydające objady i herbatę po znacznie zniżonych cenach.

Bibliografia. *Kalendarz księgarsko-literacki* na rok 1893, Warszawa, Centnerszwer.

— *Strzecha rodzinna*, kalendarz na r. 1893, Warszawa, Koliński, kop. 15.

— J. Łabuński, *Bolko Szczodry*, tragedya, str. 175, Warszawa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. B. Ten wyjątek z pamiętnika świadczy tylko o zdenerwowaniu, ale nie o talencie.

Era. Dotykając pobieżnie śmieszności tych obrońców żołądka, nie mogliśmy oświetlać sprawy niewieściej wszechstronnie. Jest to nietylko jasnem, ale prawie powszechnie zrozumianem i odczutem, że kobieta ukształcona lepiej prowadzi gospodarstwo, staje się godniejszą towarzyszką męża a często jego pomocnicą w dźwiganiu ciężarów żyela, że owa tak wysławiana kuchnia domowa musi zaniknąć tak, jak zginęły domowe browary i warsztaty tkackie. Zaznaczyć warto, że ci panowie pragnęliby jak najwyżej kształcić psy do polowania, a nie chcą mieć oświeconych żon. Te brednie można tylko ośmieszać, na poważny rozbiór nie zasługują.

Kształcącemu się. Historya powsz. Korzona tomów trzy. Do ostatnich okresów Migneta *Hist. rewolucyi franc.* oraz Lewalda *Hist. XIX w.* „Krótkiej a dobrej" historyi cywilizacyi nie znamy. Jeżeli chodzi o same fakty — Decourday'a *Hist. de la civil.*

KOMITET OBYWATELSKI
zawiązany z powodu cholery.

ODEZWA.

Warszawa dotychczas oszczędzana była przez cholerę, która ubiegłego lata szerzyła spustoszenie na wschodzie i zachodzie Europy, a także w wielu miejscach kraju naszego smutne pozostawiła po sobie ślady.

Słaby jej przebieg w Warszawie, gdzie ją obecnie raczej za przytłumioną, aniżeli za wygasłą uważać należy, nie wyłącza możności silniejszego jej wybuchu z nastaniem pory cieplejszej.

Czujność przeto jest konieczna. Zapóźno myśleć o ratunku wówczas, kiedy zaraza całe miasto już opanowała i tysiące ofiar pochłonęła. Wymownym przykładem tego za granicą Hamburg, u nas Lublin. Trzeba zawczasu do walki z epidemią się przygotować, na samym wstępie pochód jej wstrzymać i do wnętrza naszych mieszkań jej nie wpuszczać.

Przygotowania są dwojakiego rodzaju: zapobiegawcze i ratunkowe.

Do zapobiegawczych należy łagodzenie nędzy, na której gruncie cholera najłatwiej się zaszczepia i rozwija.

W tym celu Komitet ma zamiar dostarczać ludziom biednym, bez różnicy wyznania, głównie podczas ciężkich miesięcy zimowych, w miarę posiadanych środków, taniej i pożywnej strawy, ciepłej odzieży, opału i schronienia przed zimnem.

Gdyby pomimo wszelkich środków zapobiegawczych cholera wybuchła, wówczas trzeba będzie uciekać się do energicznych środków ratunkowych, przez naukę i doświadczenie wskazanych.

Dwojaka ta działalność wymaga też od ogółu dwojakiego rodzaju ofiar pieniężnych: 1) bezwarunkowych, które składane być winny jednorazowo lub w ratach przez czas trwania działalności Komitetu, nawet przy pomyślnym stanie sanitarnym i 2) warunkowych, których składanie jest obecnie wymagane, lecz co do których Komitet winien mieć pewność, iż w razie wybuchu cholery posiadać je będzie do swojej dyspozycyi dla akcyi ratunkowej,

Ofiary na te cele składane stanowić będą nietylko czyn wysoce filantropijny, ale i ochronę od niebezpieczeństwa zarazy, grożącego wszystkim mieszkańcom miasta, bez różnicy ich stanu majątkowego.

Do ofiar tych w gotowiźnie obecnie i w zobowiązaniach do ich złożenia w wypadku wybuchu cholery, Komitet wzywa ogół mieszkańców Warszawy, przy którego gorącym współudziale praca przez Komitet podjęta jedynie może mieć widoki powodzenia.

Przewodniczący w Komitecie:

Nowakowski.

Członkowie: *Dr. Ignacy Baranowski, I. G. Bloch, hr. Ksawery Branicki Mikołaj Brauman, ks. Chelmicki. Zygmunt. Kirszrot-Prawnicki, Leopold Kronenberg, br. Lesser, dr. Markiewicz, dr. Ludwik Natanson, Poznański, Wiktor hr. Roniker, Karol Szlenker, Ludwik Szwede, Adolf Szoltze, Wojciechowski.*

Sekretarz *Stanisław Wydżga.*

Zgodnie z powyższą odezwą Redakcya *Prawdy* oświadcza gotowość pośredniczenia w przesyłaniu ofiar do kasy Komitetu.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA „PRAWDY."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona – rs. 3.
L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologi — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**
E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskej — rs. 3.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.
W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.
— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.
— **Klemens Boruta**, powieść — kop. 40.
— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.
Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.
N. Hirszband. **Byron** w urywkach, rs. 1. kop. 50.
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800 - 1888 — rs. 3. k. 30.
E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych, Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsiewzięcia.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2
Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 kop. 50.
Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.
Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — rs. 1 kop. 20.
— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1 kop. 50.
A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki – rs. 3.
Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.
Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.
Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.
Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Marszałkowska 95.**

Nakładem naszym wyszła
PSYCHOLOGIA DZIECKA
Dr. med. L. Wolberga.
Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

DOSTAWCA CES. I KRÓL. DWORÓW
PATENTOWANY
„EXSICCATOR"
NISZCZY GRZYBEK DRZEWNY
OSUSZA WILGOĆ NA ZAWSZE ETC.
ADR. RITTER WARSZAWA
POTRZEBNI AJENCI
BROSZURA BEZPŁATNA

Do nabycia w Administracyi „Prawdy":
ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI
(ilustrowana).
Cena rs. 2 kop. 40. z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI
z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.
Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.
Cena rs. 2 k. 50. z przesyłką rs. 2 k. 70.

Skład Win
P. A. KRZYMIŃSKIEGO
Wierzbowa Nr. 3, w Warszawie,
poleca wszelkie Wina, Koniaki, Likiery zagraniczne oraz Wina Krymskie „Oreanda" z winnic Jego Ces. Wysok. Wielk. Księcia Konstantego.

Redaktor i Wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Января 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.